Na stronie 6: List Episkopatu Polski

ŻYCIE

Cena 6 d

„Life"
Catholic Weekly

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO SPOŁECZNY

Londyn, 12 — 18 października NR. 22

Władysław WITKOWSKI

KONSTANTY MICHALSKI U ANGLOSASÓW

Zmarły w Krakowie 6 sierpnia Ks. Konstanty Michalski, były rektor U. J., wiceprezes *Union Academique Internationale*, członek grupy publikującej *Corpus Philosophorum Medii Aevii*, to osobistość i umysł na poziomie światowym. Znany był wszędzie, we wszystkich poważnych centrach badań filozoficznych w świecie uniwersyteckim. Będąc jednym z najwymowniejszych rzeczników *philosophiae perennis* (filozofii wieczystej, scholastyki), był przede wszystkim jednym z najoryginalniejszych badaczy myśli i prądów średniowiecznych w szczególności wieku XIV. Wszystkie poważne biblioteki uniwersyteckie w krajach, które żyją jeszcze „resztkami kultury chrześcijańskiej", posiadają któreś z licznych jego roztrząsań nad filozofią średniowieczną. Ocenę całości jego dorobku nam jak i obcym, utrudnia rozrzucona po wielu publikacjach jego puścizna, ogłaszana ponadto w wielu językach.

W fachowych kołach filozoficznych na Zachodzie nazwisko jego jest dobrze znane. Poprawnie wymawiają je... nawet Anglicy. Nic w tym dziwnego. Dzisiaj żaden z adeptów filozofii nie może napisać pracy naukowej o okresie, którego znajomością celował ś. p. Ks. Michalski, bez zapoznania się z jego dorobkiem. A jest to zarazem wielki wkład myśli polskiej w kulturę światową.

Ostatnia książka na ten temat w świecie anglosaskim jest wymownym tego dowodem. Monograficzna praca o Wilhelmie Ockhamie amerykańskiego pisarza Moodie wskazuje na zmarłego, jako na tego, który najtrafniej ujął procesy i prądy myśli średniowiecznej i jej napięcia. Pod pewnymi względami ujął je trafniej, niż inny na tym polu autorytet, Etienne Gilson, profesor *College de France* i członek *Academie Francaise*. Zdanie Michalskiego o istocie średniowiecznych sporów realistów z nominalistami jest dobrze ustalone, a te odległe w czasie spory i dziś są niezwykle aktualne w związku z ożywioną polemiką o uniwersalia-powszechniki między nowoczesnymi realistami i nominalistami.

W tej chwili nie mam możliwości wglądu w amerykański *Franciscan Review*, aby z pierwszej ręki zacytować uznanie i w U.S.A. dorobku Księdza Profesora. *Franciscan Review* to najpoważniejsze dzisiaj i najważniejsze pismo zajmujące się badaniami prądów filozofii średniowiecznej. Szczególną wagę posiada ze względu na drukowanie rzadkich rękopisów średniowiecznych. Wiem jednak z relacji osób zajmujących się tymi problemami, że i tam dorobek zmarłego badacza jest należycie doceniony.

Ostatnio jeden z wykładowców na uniwersytecie brytyjskim, nawiasem mówiąc „logiczny pozytywista," zabrał się do pracy nad ruchem intelektualnym w średniowiecznym Oxfordzie. Nie mogąc zebrać kompletu prac Ks. Michalskiego, zwrócił się do mnie o pomoc. Napisałem wtedy do naszego Uczonego, prosząc o przesłanie potrzebnych dzieł. Wspomniałem mu szczegółowiej o szacunku dla jego myśli w nowszej, wojennej już, literaturze filozoficznej anglosaskiej. Ks. Prof. Michalski obiecał przesłać potrzebne prace za pośrednictwem Polskiej Akademii Umiejętności i ucieszył się, „że jednak polskie prace interesują świat anglosaski."

Jego brytyjscy przyjaciele wspominają z uznaniem jego pracę i zalety charakteru. Prof. Baxter z St. Andrews wielce sobie ceni przyjaźń z Nim, zawiązaną podczas swego pobytu w Krakowie, w latach dwudziestych. Dziś pozostały mu tylko książki przyjaciela.

W Swym liście do mnie, z dnia 10 czerwca bieżącego roku, zapewne już złożony śmiertelną chorobą, interesował się Ks. Michalski żywo publikacją Moodie'go, „bo i ja mam duszę podszytą miłością własną" — pisał. Nie mógł inaczej napisać człowiek, który zajmował się humanizmem, osobowością, personalizmem oraz zharmonizowaniem dwu naturalnych stron człowieka: jednostkowej i społecznej. Nie mógł nie podkreślić tego głęboko ludzkiego akcentu.

Kreśląc kilka uwag o tym największym z polskich historyków filozofii, nie chcę ominąć i *praktycznej strony* stosunku do kultury polskiej, do „prac polskich" — jakby powiedział Zmarły — szczególnie do dorobku księdza Profesora.

Celem naszym, Polaków w Kraju i za granicą, powinno być uprzystępnienie dorobku Zmarłego w zbiorowym wydaniu po angielsku dla świata anglosaskiego.

Nie będzie to nieudała impreza.

Zarówno ustalona naukowa pozycja Michalskiego, tutejszy duży rynek, jak i klimat intelektualny świata anglosaskiego, ułatwi nam zadanie.

Zainteresowanie myślą średniowieczną jest w Anglii i U.S.A. aż chorobliwie gorączkowe, nawet u logicznych pozytywistów, logistów. U tych ostatnich ze względu na prądy nominalizmu i ślady zainteresowań problemem wielowartościowej logiki. Prace Hawkinsa, Copplestona, D'Arcy wzmiankując tylko domenę myśli filozoficznej, „zmiękczyły" w dużym stopniu nieprzenikalne umysły. A przecież Zmarły przerasta wymienionych.

A dalej. —

W okresie głębokiej nieufności do ciasnych, fanatycznych, nieobiektywnych nacjonalistycznych czy marksistowskich eksperymentów ideologicznych z ich pseudouniwersalizmami, a w gruncie rzeczy partykularyzmem — t. zw. „Zachód" nie jest czymś bezspornie jednoznacznym. Jak „demokracja," tak i „Zachód" wołają o najrygorystyczniejszą analizę filozoficzno logiczną.

Jest to tym konieczniejsze, że dziś — szczególnie w prasie naszej, emigracyjnej, (ale nie tylko!), tak beztrosko przeciwstawia się „Zachód" „Wschodowi." Trzeba zrewidować naszą postawę wyjściową. Trzeba przeprowadzić wiwesekcję tego wszystkiego, co różni „obrońcy cywilizacji" utożsamiają z Zachodem — a wtedy okaże się, ile nieuzasadnionego samouwielbienia, usypiającego naszą czujność, kryje się za tym hasłem-zawołaniem „Zachód."

Zachód jest przeżarty materializmem, rodzajowo tym samym co i marksizm, jeszcze bardziej lękającym się o ziemię i sprawy jej, niż marksizm sowiecki!

Przeciwstawienie więc „Wschodu" „Zachodowi" jest jedynie przeciwstawieniem interesów politycznych, a nie przeciwstawieniem filozoficzno-moralnym.

Uniwersalizm jednoczącej postawy filozoficzno moralnej średniowiecza to cecha, której najbardziej dziś Zachodowi brak, cecha, która by go uczyniła spoistym, konsekwentnym, pełnym treści, a nie wytartym liczmanem polityków, broniących dziś tego, co w nim naprawdę zgniłe, w natchnieniu poetyckim — nawet cytatami z Biblii.

Respublica Christiana zapewne nie powróci w swej dawnej formie, powrócić jednak winna w swej treści, ściślej: w swym podejściu do zagadnień człowieka i ludzkości.

* *
*

Ks. Michalski to jeden z wielkich czarodziei słowa. Cecha dość rzadko spotykana na tym polu piśmiennictwa. Tym łatwiejszy sukces odniosłaby myśl jego. Dlatego też przejdźmy od wspominków pośmiertnych, od uznawania dorobku Zmarłego we własnym gronie, do konkretnych rzeczy, Wydanie zbiorowe prac Ks. Michalskiego, będzie najlepszym wyrazem naszej troski o szerzenie wiedzy o wkładzie Polski w kulturę światową. A szanse na terenie W. Brytanii są wielkie. Są nawet bardzo wielkie.

WŁADYSŁAW WITKOWSKI



Mal. A. Ciseri/Florencja/.
Fot. Alinari Roma—Firenze.

Na święto Marii Małgorzaty (17. X.)

W tym roku mija 300 lecie urodzin św. M. Małgorzaty, której objawieniom świat katolicki zawdzięcza przepiękne nabożeństwo ku czci N. Serca Jezusowego. Z okazji tej rocznicy odbywają się wielkie uroczystości w miejscu objawień — Paray-le-Monial (Francja).

Wojciech ZALESKI

Potrzeba reformy społecznej

W Monachium odbył się ostatnio katolicki tydzień społeczny, w czasie którego szereg duchownych i świeckich znawców zagadnień społecznych wygłosiło referaty i powzięto szereg uchwał programowych.

Tydzień społeczny przypominał analogiczne tygodnie francuskie pod względem sposobu organizacji, charakteru wystąpień programowych i braku odwagi w myśleniu, z wyjątkiem może Jezuity O. Nell-Brueninga.

Najbardziej rewolucyjne było odezwanie się gościa kongresu, socjalisty Hognera, który oświadczył, że **„materializm historyczny nie wystarcza dla wyjaśnienia zjawisk społecznych."** Jest to ni mniej ni więcej tylko zerwanie z marksizmem ortodoksyjnym, dla którego materializm historyczny był podstawowym dogmatem. Zebrani nagrodzili to oświadczenie burzliwymi oklaskami — i słusznie, materializm historyczny bowiem zamykał dotychczas socjalizmowi drogę do chrześcijaństwa.

Natomiast trzeba z żalem stwierdzić, że uchwały „tygodnia społecznego" nie stanowią żadnego momentu przełomowego w dziejach myśli katolickiej, co jest aż dziwne wobec tego, że przed myślą tą stoją zadania tak poważne i tak paląco pilne, jak nigdy dotychczas.

W okresie ofenzywy komunizmu i słabnięcia t. zw. socjalizmu demokratycznego, myśl katolicka winna bowiem podjąć inicjatywę, z jasną koncepcją ruszyć do walki przeciw groźbie dyktatury komunistycznej w Europie.

Gdy wobec tych zadań uchwały zjazdu powiadają, że „sprawiedliwość społeczna nakazuje szukać form dopuszczenia obok kapitału także i pracy ludzkiej do udziału w zyskach" — nie sposób oprzeć się wrażeniu, że to jest bojaźliwe dreptanie w miejscu. To szukanie form udziału robotnika w zysku trwa już bez większego powodzenia od 50 lat.

Słusznie wprawdzie podkreślają uchwały zjazdu, że państwowe rozkazodawstwo gospodarcze prowadzi do kapitalizmu państwowego, urągającego godności (raczej wolności?) ludzkiej, że rozszerzanie się władzy państwa w życiu gospodarczym zabija inicjatywę przedsiębiorcy, ale nie sposób zgodzić się z tym, że należy wprowadzić udział robotników i urzędników w zarządzie przedsiębiorstw. Jest to przejęcie postulatu socjalistów — krok, w przekonaniu autorów rezolucji, zapewne wielce postępowy — w gruncie rzeczy jednak nielogiczny i bojaźliwy.

Udział robotników w zarządzie może się ograniczać do doradztwa. Wówczas jest urządzeniem na korzyść przedsiębiorcy. Jego znaczenie, jako „reformy społecznej," jest minimalne. Taka forma doradctwa jest ostatnio modna w Stanach Zjednoczonych — ale to jest tylko pierwszy, bardzo nieśmiały, krok w kierunku, w którym należałoby dążyć.

Natomiast rzeczywisty udział pracowników w jakichkolwiek decyzjach istotnych przedsiębiorstwa jest tylko

Dokończenie na stronie 2

nielogiczną demagogią. Nie można komuś dawać prawa decyzji jeżeli ten ktoś za tę decyzję nie będzie ponosił odpowiedzialności, w tym wypadku materialnej.

Są ludzie, którzy nieśmiało pragnęliby dać robotnikowi jakiś udział w kierownictwie i jakiś udział w zysku... i na tym koniec. Sądzę, że to jest błąd. Udział w zysku i udział w zarządzie mogą być tylko następstwem udziału we własności.

Uczestnicy narad monachijskich, podobnie jak katolicy francuscy, odczuwają jakiś niezrozumiały strach przed wypowiedzeniem tego ostatniego słowa. Jest to strach niebezpieczny. Może on doprowadzić do wypaczenia linii katolickiej.

Koncepcja udziału robotników (rozumiem przez to i urzędników) we własności przedsiębiorstw jest najbardziej konkretnym przeprowadzeniem zasady własności prywatnej, którą ustrój kapitalistyczny często wypacza i niweczy. Dlatego jest najostrzejszym zaprzeczeniem koncepcji komunistycznego totalizmu. O ile możliwe jest odbieranie własności przedsiębiorstw nielicznym kapitalistom, o tyle praktycznie niemożliwe jest odbieranie jej robotnikom.

Katolicyzm francuski bał się konsekwencji swych założeń programowych. Może właśnie dlatego nie jest dostatecznie przeciwstawny komunizmowi, a niekiedy wprost niepokojąco niewyraźny w swym stosunku do niego. Być może nad myślą katolicką zaciążyły tu nauki przełomowej skądinąd encykliki „Rerum novarum" o pracy najemnej, której encyklika w pewnym sensie broni. Sądzę jednak, że jest to nieporozumienie. Leon XIII wcale nie pragnął bronić ustroju kapitalistycznego i najemnictwa, jako reguły. Istnieje wielka różnica między dopuszczeniem w pewnych wypadkach pracy najemnej, a obroną ustroju, w którym masy skazane są na dożywotnie najemnictwo, przy którym kapitał anonimowy posługuje się wyłącznie najemnikami. Ustrój własności prywatnej polega na tym, by możliwie największa ilość ludzi pracowała w swoich warsztatach na swój rachunek. Ustrój kapitalistyczny w coraz większym stopniu stawał się zaprzeczeniem tej zasady.

Rozgrzeszając dziś masowe najemnictwo, katolicka doktryna społeczna pozbawia się najskuteczniejszej broni w walce przeciw ustrojowi komunistycznemu, na takim właśnie masowym najemnictwie opartemu...

Okres obecny uważam za szczególnie korzystny dla przeprowadzenia wielkiej reformy społecznej w krajach Europy. Prawdę powiedziawszy kapitalizm europejski jest słaby i strwożony, a socjalizm demokratyczny nie bardzo wie czego chce.

Reforma może być zharmonizowana z tak ważnym dziś postulatem odbudowy kapitału (ale nie kapitalizmu) europejskiego. Trzeba tylko, jak to proponowałem w odniesieniu do przemysłu polskiego po wojnie, umożliwić robotnikom nabywanie udziałów w przedsiębiorstwach, w których pracują.

Udziały te mogą być nabywane drogą potrąceń z zarobków, zastępujących potrącenia na ubezpieczenia emerytalne, ewentualnie potrąceń wyższych, zależnie od warunków poszczególnych krajów. Gromadzony w ten sposób kapitał służyłby stopniowemu przejściu na własność robotników przedsiębiorstw państwowych i prywatnych— tych ostatnich z zachowaniem udziału właścicieli dotychczasowych, jeżeli pracują w przedsiębiorstwie, a ze stopniową ich zamianą na obligacje, jeżeli w przedsiębiorstwie nie pracują.

Zaletą takiej reformy jest złączenie pracy z własnością w sposób stopniowy i powolny, przez co udział robotnika w zarządzie wzrasta równolegle z jego udziałem i z przekształceniem jego sposobu myślenia proletariackiego na sposób myślenia wolnego współprzedsiębiorcy, zdolnego ponosić ofiary doraźne dla lepszej przyszłości.

Jak pouczają ostatnie doświadczenia, są tylko dwa sposoby nakłonienia robotnika europejskiego do wydatnej pracy: groźba powieszenia, rozstrzelania ewtl. zesłania do obozu koncentracyjnego, jak n. p. w Rosji, oraz sprawiedliwy udział robotnika w owocach jego pracy, przez oddanie przedsiębiorstw w ręce robotników, a nie państwa, przeprowadzony w sposób rozsądny, nie demagogiczny, stopniowy.

Samo zestawienie tych dwu metod jest już najlepszą propagandą przeciw komunizmowi. Co się zaś tyczy ustroju demokratyczno-socjalistycznego to ten załamuje się w naszych czasach, a raczej załamuje się w dwu kierunkach: **totalistyczno-komunistycznym i chrześcijańsko-społecznym.** Gdy się rozłamie, ostatecznie zostanie w Europie jasna sytuacja: przeciwstawienie myśli chrześcijańsko-społecznej komunizmowi. Przeciwstawienie światu wolnych właścicieli i przedsiębiorców, powiązanych dobrowolnie w zespoły, świata niewolnych najemników-proletariuszy.

*

Na katolickich reformatorach życia społeczno-gospodarczego spoczywa dziś odpowiedzialność ogromna. Winni oni odrzucić resztki skostniałych sądów, które ciążyły nad myślą katolicką w XIX wieku. Powinni się zdobyć na powrót do zdrowych zasad własności prywatnej, podporządkowanej nakazom moralnym i temu poczuciu łączności jednostki z całością społeczną, w której żyje, jakie charakteryzowało średniowieczny ustrój cechowy.

Gdy spojrzymy dziś na prastare miasteczka z ich świątyniami i bogatymi ratuszami, ogarnia nas zdumienie, w jaki sposób Średniowiecze, nie dążące wcale do gromadzenia bogactw, zdobywało się na taką wydajność gospodarczą nie tylko bez maszyn parowych, kolei i elektryczności, ale także bez wyzysku i tępienia ludów kolonialnych, znamionującego „postęp" XIX wieku. Tajemnica polegała na tym, że wówczas wytwórcy byli bez porównania więcej wolni gospodarczo, niż proletariusze w fabrykach kapitalistycznych, czy komunistycznych, a wewnętrznie dobrowolnie o wiele ściślej związani ze społecznością we wspólnym dążeniu wzwyż, którego symbolem są strzeliste wieżyce gotyckich świątyń.

(„LECH", Nr. 5.)

Niemieccy duchowni na sowieckim przeszkoleniu

Pewien niemiecki student teologii, który niedawno powrócił z sowieckiej niewoli, opowiada:

Gdy w lecie 1944 r. zaczęło się sortowanie jeńców niemieckich, wziętych pod Stalingradem, „Narodowy Komitet Wolnych Niemiec" wyszukiwał wszystkich „antyfaszystowsko" zorientowanych jeńców i powoływał ich do współpracy, aby się „przyczynili do zakończenia wojny i zrzucenia narodowo- socjalistycznego jarzma." Tolerowano wszelkie opinie, byle były one skierowane przeciw narodowemu-socjalizmowi. W ten sposób w szkołach politycznych, urządzanych przez NKWD, znaleźli się również i teologowie katoliccy i protestanccy.

Wilhelm Pieck (obecny przywódca komunistów niemieckich w strefie sowieckiej, stojący na czele SED — przyp. Redakcji) powiedział wtedy w swoim przemówieniu do zebranych kapelanów wojskowych:

„Mamy wspólnego wroga: Hitlera i narodowy socjalizm. Nas komunistów i was, przedstawicieli obu kościołów, wiąże wspólna cecha idealizmu i ofiarności. Na nich budując możemy razem przebyć znaczny kawałek drogi. Kiedyś przyjdzie pora rozstania się, ale to nie będzie sprawa dnia dzisiejszego lub jutrzejszego, ale sprawa aktualna pojutrze lub w przyszłości."

Aby podkreślić wspólność ofiar komunizmu i Kościoła Katolickiego, uczczono nawet krwawe ofiary złożone przez katolików. I tak w klatce schodowej obozu przeszkoleniowego Nr. 145, na „tablicy honorowej antyfaszystów" umieszczono też portrety dra Klausenera i Probsta, berlińskich działaczy Akcji Katolickiej zamordowanych przez narodowych socjalistów.

Obecny dygnitarz partyjny w SED, Walter Ulbrich, wówczas instruktor szkoły politycznej w pobliżu Moskwy, powiedział do jednego z niemieckich jeńców: „Nie jest moim zamiarem zrobić z was komunistów lub socjalistów. Powinniście tylko poznać nasz światopogląd. i istotę walki klasowej oraz ostateczne zasady kapitalizmu w oświetleniu Marxa i Engelsa. Słowo „klecha" („Pfaff") było z tych szkół aż do czasu zakończenia wojny wygnane, ale po kapitulacji Niemiec zaczęto utożsamiać pojęcia „antyfaszystowski" i „marxistowski." W programach wykładów pojawiły się za tematy takie, jak: „Religia — to opium dla narodów" mówiono też o „finansowej arystokracji Watukanu," o „skłonnościach katolików i protestantów do imperializmu dolarowego," o „milczeniu papieża, gdy chodziło o Lublin, Oświęcim i Majdanek" i jeszcze o wielu innych.

Od duchownych katolickich, których posłano do tych szkół politycznych oczekiwano, że przez swój wpływ na ludność katolicką w swym kraju przyczynią się do rozproszenia obaw przed „bolszewickim straszakiem."

Niebywały sukces książki

Pani Nanda Herbermann b. sekretarka znanego Jezuity niemieckiego, O. Fryderyka Muckermana, który jeszcze przed wojną, przez prześladowców hitlerowskich musiał udać się za granicę, została uwięziona przez władze nazistowskie i przebyła wiele lat w rozmaitych więzieniach i obozach. Obecnie, nakładem księgarni Glocka i Lutza, w Norymberdze ukazały się jej wspomnienia, p. t. „Der gesegnete Abgrund" („Błogosławiona otchłań"), w której autorka opisuje swe przejścia w słynnym obozie koncentracyjnym dla kobiet w Ravensbrueck. Książka ta, która jest ważnym dokumentem siły i znaczenia wiary, cieszy się niebywałym powodzeniem, gdyż ogłoszona prenumerata na nią przyniosła 1.200.000 złoszeń. Uderzające jest podobieństwo tytułu do tytułu książki Z. Kossak „Z otchłani," opisującej przejścia w Oświęcimiu.

Na marginesie zagadnienia czytelnictwa w Niemczech: właściciel znanego wydawnictwa monachijskiego Kurt Desch mówił na berlińskiej wystawie książki o zainteresowaniach niemieckich czytelników. Według niego najbardziej czytanymi książkami są: „Jens Jeromin Ehrenreich" E. Wiecherta, „Das Glasperlenspiel" H. Hessego, „Lotte in Weimar" T. Manna, „Die deutsche Katastrophe" Fr. Meineckego i „Der SS-Staat" E. Kogona. Z autorów obcych powodzeniem cieszą się Pearl Buck, Hemmingway i Dostojewski.

Ks. Jan PRZYBYSZ

A gdy nadszedł ten dzień...

Zbliżał się wielkimi krokami dzień śniony w gorączce głodowej, śniony na miejscach kaźni, w zabójczych „komandach" i w duszných barakach Dachau: wielki dzień wolności!

Na dzień wolności czekały miliony w Europie, czekały setki tysięcy w obozach, czekało i 34.000 w obozie koncentracyjnym w Dachau.

Nie doczekały rzesze liczne. Rzesze z wszystkich prawie krajów Europy, młodzi i starzy, ludzie nauki i prostaczkowie. Tylko ich prochy, wyrzucone z pieców krematorium na pola „Wildparku," ścieżki i w głęboki dół, powitały wybawców.

Gdyśmy przyjechali do Dachau, liczyło się w pierwszych tygodniach apele, że już tyle a tyle ich było; nikt jednak nie śmiał zapytać drugiego, ile ich jeszcze będzie, kiedy wreszcie nastąpi radosny apel uwolnionych, by zdjąć czapki, ale już nie jako więźniowie, lecz ludzie wolni, nie na komendę SS, lecz samorzutnie, z podzięką Bogu.

Gdy nas tłumacz obozowy „witał" w Dachau, powiedział. że dostać się tu łatwo, ale wyjść stąd bardzo trudno. Jedno jest pewne, że większość wyjdzie... przez komin krematorium...

I mówił prawdę, bo znał dobrze metody obozu. Z 530 księży polskich, przywiezionych w roku 1941 do Dachau, doczekało się dnia wolności zaledwie siedemdziesięciu kilku. Reszta wyszła z obozu... przez komin krematorium, zatłuczona kijami przy pracy, uduszona w komorze gazowej, wymarła z głodu, chorób i różnych doświadczeń lotniczych, malarii i flegmony.

Sprzykrzyły się więźniom proroctwa domorosłych proroków, sprzykrzyły się zakłady, sprzykrzyły się przepowiednie wierszem i prozą. Tyle wiosen już zawiodło, tyle terminów nie dopisało, tyle wyliczeń „matematycznych" się nie ziściło! Akcje „parolarzy" spadły bardzo nisko. Zniechęceni, zwątpili w tempo amerykańskie, w skuteczność nalotów, nawet w możliwość zakończenia wojny...

Było jednak w obozie jedno proroctwo, które się spełniło. Proroctwo o miłości...

Przed placem apelowym, na dachach kuchni i składnicy, wypisane były wielkimi literami sentencje, mówiące o drogach do uzyskania wolności. Jedna z nich brzmiała:

„Jest tylko jedna droga do wolności, miłość ojczyzny."

Trzy razy dziennie więźniowie, stojąc na apelu, mogli odczytywać przygasłymi z głodu i wycieńczenia oczami te zachęcające słowa.

Otóż utrzymywała się w obozie stara przepowiednia, że kiedy ta „miłość ojczyzny" się spali, przyjdzie wolność.

I rzeczywiście, na kilka miesięcy przed uwolnieniem, w czasie nocnego nalotu na Monachium, została zestrzelona przez artylerię przeciwlotniczą „oświetlająca kula." Spadła na on proroczy dach, wznieciła pożar i... spaliła się miłość.

Radosny krzyk szedł nocy onej po obozie, w różnych językach powtarzany: „miłość się pali!"

Drżała ziemia niemiecka, wybuchami coraz straszniejszych bombardowań wstrząsana. Grało powietrze od setek coraz śmielej przelatujących, myśliwców alianckiah. Nie dojrzałeś na niebie samolotów niemieckich. Wracający z komand zewnętrznych więźniowie opowiadali o drogach zapchanych uciekinierami, o wałęsających się żołnierzach z rozbitych pułków, o rozprzężeniu i popłochu. Nam ,Polakom, przypominało to rok 1939. Słuchaliśmy tych wieści chciwie, nadzieja wstępowała w serca. A może nareszcie...

W obozie niektórzy z SS przebrali się w mundury Wehrmachtu, zachodzili na bloki, starali się być bardzo przyjacielscy. Częstowaliśmy się papierosami. Uśmiechali się do nas, łaskawie przemawiali, tłumacząc się, że przecież dla więźniów „tak źli nie byli." Słowem — „Kameradschaft."

Na dwa tygodnie przed uwolnieniem, do obozu zajechały auta. Zabierano z urzędów wszystkie akta, wszystkie dokumenty, stosy papierów. Wszystko to wywożono na olbrzymi stos, obok obozu i palono. Dymiło jeszcze krematorium, a obok płonął papierowy stos naszych przewinień, oskarżeń, naszych „zbrodni." Płonęły również i karty z jedyną przewiną księży polskich, z jednakowym dla wszystkich oskarżeniem: "Action polnische Klerus," co onaczyło: „jest winien, bo jest Polakiem i księdzem." zarząd

W ostatnim tygodniu zarządzono transport ty z obozu. Codziennie rano wszyscy mają być „Marschbereit" — gotowi do drogi Koc przez ramię, mały węzełek ubogiego mienia i marsz na plac apelowy. Tu długie godziny stania. Wyszło z obozu kilka grup Niemców i Rosjan. Cały obóz miał być ewakuowany. Brakło już jednak wykonawców.

Poznaliśmy, stojąc na placu apelowym, że coś mocno popsuło się w „państwie bojaźni Bożej." SS chodzili między tłumem niepewni, zmieszani, jak by zawstydzeni. Ani: „seitenrichtung," ani „vordermann." Nie zwracali nawet uwagi na przepisowe kłanianie się więźniów. Kły oprawców były już połamane, brakło sił do kąsania. Lęk i trwoga czaiła się w ich szklanych, bez wyrazu oczach. Następnych dni — kto chciał na plac apelowy, szedł, kto chciał z placu na blok — wracał: silna pięść i dyscyplina pękły. Sposobiliśmy się na dzień uroczysty, przygotowując w ukryciu narodowe sztandary.

A jednak wisiała nad nami groza. Konający potwór chciał jeszcze w ostatnich drgawkach agonii porazić nas śmiertelnie.

MODLITWA KOŚCIOŁA

Przeorał nas tak bardzo subiektywizm, tak bardzo przywykliśmy traktować nasz stosunek do Boga, jako „sprawę prywatną,” że już nie rozumiemy modlitwy Kościoła: liturgii. Podczas mszy uprawiamy nasze własne dewocje (w najlepszym wypadku; zazwyczaj ograniczamy się do obecności fizycznej, z chmarą wróbli w głowie) i nie dbamy, co dzieje się na ołtarzu. Z tymi, co nas otaczają, nie czujemy się wspólnotą. Z wielkim namaszczeniem, we wszystkich przypadkach, odmieniamy przed Bogiem zaimek „ja”: mnie, mną, dla mnie... Ksiądz swoje, my swoje.

Ksiądz przy ołtarzu przeważnie nie mówi „ja”, ale „my.” Modlitwa, która zwie się „pańską” — jedyna, jakiej słowo za słowem nauczył nas Pan — każe wiązać nam najciaśniej nasze prośby z prośbami braci: Ojcze „*Nasz*,” nie „mój”; chleba „*Naszego*”, odpuść *Nam Nasze* winy...

Trzeba dziś istnej operacji wewnętrznej, żeby nagiąć naszą myśl i naszą wolę do postawy liturgicznej. Zwłaszcza wśród nas, Polaków, egotyzm religijny pokutuje nie od dziś. Chorujemy na nastroje, odmierzamy wartość modlitwy sentymentem, uprawiamy dewocje „prywatne” i nie umiemy się zdobyć na męską karność w pełnieniu służby Bożej. Gdyż liturgia, po grecku „leitourgia,” to właśnie „służba Boża”; nie nastrój, ani fantazja, ani kaprys, ani ckliwe kwilenia dewotek, ale *służba społeczna*.

Służba społeczna: te dwa słowa tak się starły, tak spłowiały w potocznym użyciu, że na to, by je zrozumieć, trzeba przywrócić im utraconą godność i blask; po prostu wrócić do źródłosłowów.

Służąc, uznaję prymat tego, komu służę. Służąc Bogu, stwierdzam, że Bóg jest ważniejszy ode mnie. Banał? Truizm? Analizujmy nasze modlitwy: jak często stawiamy istotnie, nie wargami, ale sercem Wolę Bożą nad swoją własną? Interes Boży ponad mój własny? Modlimy się prawie zawsze o c o ś, modlitwa nasza jest prawie zawsze p r o s z a l n a. Są osoby, które w ogóle nie rozumieją modlitwy inaczej, jak e g o c e n t r y c z n i e. Co mi z tego przyjdzie, co mi to da... Ostatecznie, warto zaasekurować się na wypadek śmierci...

Liturgia pamięta, że Bóg jest ważniejszy ode mnie, od nas. Liturgia jest najistotniej teocentryczna, to znaczy stawia Boga, wolę Bożą, interes Boży na pierwszym miejscu. Tu również Kościół uczył się z tego świętego abecadła, jakim jest „Ojcze nasz.” O cóż modlimy się przede wszystkim w modlitwie Pańskiej? „Święć się imię *Twoje*, przyjdź królestwo *Twoje*, bądź wola *Twoja*.” I teraz dopiero, z kolei, prosimy: „chleba *naszego* powszedniego daj nam dzisiaj...”

Liturgia, to przede wszystkim chwalba, dziękczynienie, ofiara i dopiero z kolei gest proszalny, nie tylko w m o i m imieniu, ale w n a s z y m. Stawiam Boga na pierwszym miejscu, i staję przed Bogiem nie sam, ale z braćmi: oto postawa liturgiczna, oto modlitwa Kościoła.

Również „społeczność” w ujęciu liturgicznym posiada sens o wiele głębszy niż ten, który dajemy mu potocznie. Na to, żeby modlić się „społecznie” nie trzeba koniecznie modlić się głośno i masą. Rozmodlony kościół może być sumą egocentrycznych jednostek. Katolik w samotnej, więziennej celi może modlić się społecznie. Gdyż nie chodzi tu tylko o postawę zewnętrzną, o gest widzialny, ale o wewnętrzną świadomość wspólnoty. Na to, by nasza modlitwa była istotnie liturgiczna, musimy z braćmi czuć się i widzieć j e d n y m. Nasze „my” nie może być tylko sumą jednostek, ale organiczną wspólnotą.

Te proste prawdy były chlebem powszednim dla pierwszych chrześcijan. Uświadommy sobie, że liturgia Kościoła nie powstała przy biurkach uczonych klerków, ale samorzutnie, jako wyraz istotnego, realnego *życia* Kościoła. Pierwsze wieki modliły się tak, jak oddychały: liturgicznie. Nie gubiły się w tanich praktykach dewocyjnych, które niekiedy przypominają przepisy kuchenne pani Ćwierciakiewiczowej, zakrawając na zabobon („przepisz siedem razy tę modlitwę, rozdaj, a otrzymasz, o co prosisz”: niczem recepta na piernik), ale myślały, żyły, modliły się z Kościołem, dlatego, że same *czuły się* Kościołem: sentiebant cum Ecclesia. Otóż ten właśnie „zmysł Kościoła” zanikł w nas i zniszczał. I dlatego liturgia jest dla nas czymś obcym i niezrozumiałym. Nie umiemy się modlić.

Czymże bowiem jest Kościół, jak nie wspólnotą w Chrystusie, więcej, Chrystusem „całym” — jak określa go wspaniale święty Augustyn, Chrystusem przedłużającym się niejako w czasie i przestrzeni, rozpiętym na krzyżu czasu i przestrzeni, żyjącym, trwającym, rosnącym na miarę swej „pełni”? Chrześcijaństwo to nie „coś,” ale *Ktoś:* Chrystus. Chrześcijanin to nie tylko członek organizacji, ale żywego organizmu, jakim jest Ciało Mistyczne Chrystusa, Kościół. „Cząstką Chrystusa” zwie go święty Augustyn i mocniej jeszcze: „wtórnym Chrystusem”: „christianus *alter Christus*.”

Stosunek bezpośredni, organiczny, żywy do Chrystusa jest sprawdzianem i wykładnikiem wszystkich aspektów chrześcijaństwa, chrześcijańskie jest tylko to, co tak czy inaczej wyraża i stanowi jedność z Chrystusem. Prawdy ongiś aż banalne a tak dziś zapomniane! Dla pierwszych chrześcijan, i przez całe średniowiecze, do czasów Odrodzenia były one chlebem powszednim: trzeba było istnej rewolucji, żeby wypruć z chrześcijańskich społeczności ów „zmysł Kościoła.” Dziś płacimy za to krwawo.

Jakiż bowiem jest sekret powodzenia mitów totalnych, jeśli nie idea wspólnoty? Istnieje dziś w ludziach ogromna tęsknota do czegoś, lub kogoś, ktoby ich scalił i pojednał. Im większe rozdarcie, tym większa tęsknota. Pamiętajmy, że nawet błąd stoi okruchami skradzionych, lub, jak mówi Chesterton, oszalałych prawd. Ani nazizm, ani komunizm nie byłyby znalazły tak ogromnego posłuchu wpośród mas, gdyby nie apelowały do tego zmysłu spólnoty, do tej potrzeby jedności. Wkroczyły na teren, z którego wyrugowano chrześcijaństwo.

Ani z życia prywatnego, ani z życia publicznego nie wyrzuca się Chrystusa bezkarnie: pustkę ziejącą, jaka zostaje po tym Wygnańcu, rychło wypełni karykatura chrześcijaństwa: Antychryst.

Gdybyśmy my, chrześcijanie, od trzech stuleci nie zdradzali tak konsekwentnie naszej chrześcijańskiej wspólnoty w Chrystusie, nie rozpleniłyby się herezje bluźnierczych wspólnot w Leninie, czy Marksie, w Hitlerze czy „wielkim ja” Fichtego, w rasie czy w klasie.

Człowiek jest tak bardzo z „przyrodzenia chrześcijański”: *naturaliter christianus*, że jeśli odmówią mu Bożego chleba, fabrykuje sobie sam namiastki i odcięty od jedności w Chrystusie, szuka scalenia w mitach. Powiedzmy to sobie prosto, szczerze: mity totalne żerują na naszych zdradach, wyrastają z naszych dezercji, czyhają wszędzie tam, gdzie istnieje odpływ, lub zanik chrześcijaństwa.

Cóż stąd, że się odżegnujemy od komunistów, jeśli na komunizm nie mamy odtrutki? Błędu nie zwyciężymy sloganami. Na „prawdy oszalałe” jest jedno tylko lekarstwo: prawdy istotne, którym ich karykatury składają mimowolny hołd.

Tym, których nurtuje potrzeba wspólnoty trzeba dać receptę na prawdziwą spólnotę, jeśli się nie chce, by dali się uwieść wspólnotom fałszywym. Trudno i darmo: świat współczesny tęskni bardziej, niż kiedykolwiek, do jedności, do scalenia.

Tylko my, chrześcijanie, znamy drogę i klucz do jedynego realnego współczynnika jedności, jakim jest Chrystus

Tylko my wiemy, co znaczy „ k o m u n i a ”: świętych obcowanie, mistyczna wspólnota w Chrystusie, odskocznia, serce i cel liturgii. Kto nie zna, lub nie chce jedności w Chrystusie, prędzej czy później stanie się pastwą mitów. Kto odrzuca komunię, jest bezbronny wobec komunizmu. Czy nie jest znamienne, że oba te słowa jeden mają źródłosłów? Świat współczesny stoi na rozdrożu — wybrać musi między realną wspólnotą w Chrystusie albo mitem wspólnoty. Komunia lub komunizm, tertium non datur.

PIOTR KMITA

Zwiększenie liczby kardynałów?

Korespondent Religious News Service, Gunhild Bergh, pisze, że przygotowuje się wielka reforma Kurii Rzymskiej. Ma być zwiększona liczba kardynałów z 70 do 100.

Jak wiadomo Kuria składa się z 12 Św. Kongregacyj, 3 trybunałów i 5 urzędów sprawujących rządy Kościołem. Według korespondenta 2 są główne powody, dla których ma nastąpić owa reforma.

Jednym jest nadmierna przewaga kardynałów włoskich w Świętym Kolegium, z wyjątkiem bowiem jednej Kongregacji na czele stoją albo kardynałowie Włosi, albo Papież. Według niepotwierdzonych oficjalnie pogłosek Pius XII zamierza w Kurii rzymskiej przywrócić zwyczaj z czasów renesansu, kiedy Kuria liczyła wielu kardynałów różnych narodowości. Pius XII zawsze podkreślał charakter uniwersalny Kościoła, co zresztą znalazło szczególny wyraz w czasie jego pierwszego konsystorza, kiedy po raz pierwszy w dziejach Kościoła została mianowana większość kardynałów spoza Italii.

Jeśli Ojciec św. zwiększy liczbę kardynałów o 30 — możliwość, o której często w kołach Watykanu słychać — mówi się, że 70-ciu z nich będą to t. zw. kardynałowie „diecezjalni”, a pozostałych 30 będzie kardynałami kurialnymi z obowiązkiem rezydencji w Watykanie. W tej chwili jest 15 kardynałów kurialnych. Powszechnie oczekuje się, że większość kardynałów kurialnych będzie pochodzenia nie włoskiego.

Jako drugi powód proponowanej rzekomo reformy Kurii podaje się niewątpliwy fakt przeciążenia pracą urzędów watykańskich, jak również prefektów i sekretarzy Kongregacji. (t).

Przyszedł do komendanta obozu rozkaz Himmlera treści następującej: (Przytaczam tu wyjątek z rozkazu Himmlera dla Dachau i Flossenburga, w odpowiedzi na propozycje komendanta obozu, by oddać więźniów Aliantom.):

„14.4.1945. *Die uebergabe kommt nicht in Frage. Das Lager ist sofort zu ewakuiren. Kein Haeftling darf lebendig in die Haende des Feindes kommen. Die Haeftlinge haben sich grausenhaft gegen die Ziwilbevoelkerung in Buchenwald benomen.*” (—) *Himmler.*

A w przekładzie polskim:

„O oddaniu nie może być mowy. Obóz należy natychmiast ewakuować. Żaden więzień nie może się dostać żywy w ręce nieprzyjaciela. Więźniowie zachowali się straszliwie wobec ludności cywilnej w Buchenwald.”

Nie było czasu na pełną ewakuację i wyniszczenie więźniów po drodze, dlatego postanowiono wytracić wszystkich w obozie.

W odległym o 15 km. Schleisheimie przygotowana była specjalna dywizja SS „Wikking,” głównie młodzi, ze szkoły narodowego socjalizmu, zbiry i siepacze okrutni, nie wahający się strzelać na rozkaz wodza do własnych ojców i matek.

W obozie. na dzień 29 kwietnia 1945 r. (niedziela) wyznaczono, na godz. 9-tą wieczorem, apel wszystkich zdrowych. Na tę godzinę podejść miały dywizje „Wikkingów” z karabinami maszynowymi, granatami i miotaczami płomieni. Stojących na placu w ciemnościach wziąć miano w krzyżowy ogień karabinów maszynowych, obrzucić granatami i wreszcie miotaczami płomieni spalić wszystkie baraki razem z rewirem, gdzie leżało ponad 2.000 chorych. Wszystko było należycie przygotowane, odpowiednie rozkazy wydane.

Krążyły nad nami myśliwce amerykańskie, zniżały się nad dachy baraków, ostrzeliwały pobliskie osiedle SS. z broni pokładowej, rzucały małe bomby na dworzec kolejowy. Pełnym radości wzrokiem ścigaliśmy te jaskółki wiosny-wolności i cieszyliśmy się jak dzieci, nie wiedząc, że śmierć zatacza wokół obozu krwawy łuk.

W sobotę, 28 kwietnia, rozległy się strzały karabinów maszynowych, działek przeciwpancernych i armat z czołgów amerykańskich. Alianci zaatakowali Dachau w małej sile' Po wymianie ognia, czołgi amerykańskie zawróciły na pozycje wypadowe.

Udaliśmy się na spoczynek w ostatnią noc niewoli. Nikt prawie nie spał. Podniecenie udzieliło się wszystkim. Co dzień jutrzejszy przyniesie? W jakich boleściach wolność rodzić się będzie? Co nas wszystkich czeka?

Jeden z księży, ze Śląska, Ks. Przybyła Franciszek, dowiedziawszy się od znajomego SS o mającej nastąpić masakrze w obozie — oszalał. Chodził po izbach z obłędem, drżąc z przerażenia, wciskał się na najdalej stojące łóżka. Wyskubywał wolinę z sienników. W lęku śmiertelnym chciał się ukryć, pod lichą sieczką drzewną.

Wokół obozu zapanowała w nocy złowroga cisza. Z daleka tylko huczała artyleria. Wzmocnione posterunki SS z 4 karabinami maszynowymi na każdej wieży wartowniczej, czuwały. Światła na drutach, otaczających obóz, pogaszono. Panowały nieprzeniknione ciemności.

Przyszła wreszcie pamiętna niedziela, 29 kwietnia. Od rana wzmogły się strzały wszelkiej broni. Myśliwce amerykańskie w nurkowym locie ostrzeliwały miasteczko. Z dala słychać było warkot wozów pancernych. Amerykanie przystąpili do ataku.

O godz. 10 przyniesiono w kotłach obiad. Wydawano jedzenie przed barakami, bo w natłoczonych izbach, liczących ponad 400 więźniów zamiast przewidzianych 50, nie było miejsca. Długie szeregi z menażkami podchodziły do kotłów. Liczne grupy, stojąc na ulicy blokowej, spożywały ostatni obiad więźnia.

Natężenie ognia rosło. Terkot karabinów maszynowych mieszał się z hukiem szybkostrzelnych działek wozów pancernych i suchym trzaskiem broni ręcznej. Słyszeliśmy strzały ze wszystkich stron obozu. Niemcy wycofywali się na Schleisheim i Monachium. Amerykanie wkraczali do miasteczka.

Nagle podczas obiadu silna detonacja targnęła powietrzem. Zakołysały się baraki, drgnęła ziemia: to Niemcy wysadzili most na pobliskiej rzeczce Amper. Pobladły wynędzniałe twarze więźniów, zadrżały ręce niosące do ust rzadką zupę z brukwi. Lękliwsi schronili się do kruchego baraku, jakby tam było bezpieczniej. Poszczególne grupy modliły się głośno.

W południe strzelanina jeszcze się wzmogła. Świstały złowieszczo kule, nad naszymi głowami, pękały pociski, ryczały motory pikujących samolotów.

W huku i dymie, w błyskawicach ognia, w dreszczu ziemi i szumie motorów rodziła się wytęskniona wolność...

Blade wiosenne słońce zza welonu mglawych chmur i dymów wybłyskiwało na świadka wolności.

O godzinie 3 po południu Amerykanie opanowali miasteczko Dachau. Zamknięci w obozie, stłoczeni w barakach, nic nie wiedzieliśmy o przebiegu walki. Nie wiedzieliśmy, co się jeszcze stać może.

O 4 po południu zebraliśmy się w kaplicy obozowej. po której już wolno nam było wtedy uczęszczać. Mszę św. odprawił ks. prof. Mączyński. Pieśniom naszym i modłom towarzyszyły odgłosy pobliskiej walki. Dygotały ciała nasze, biły przyśpieszonym tętnem serca, drżały ręce. Śmierć albo życie, co dasz, o Panie?

Cokolwiek się stanie, myśmy blisko Ciebie! przy Twoim tabernakulum, tu najpewniejszy schron, tu ucieczka, tu azyl Kościoła.

Msza św. się skończyła. Prześpiewaliśmy jeszcze kilka pieśni, zaczęliśmy Różaniec, tajemnice chwalebne. Potem litania do Matki Boskiej, ta nasza, Loretańska.

W połowie litanii strzały nagle umilkły. Zapanowała głucha cisza.

Czy już?

Na ulicy obozowej słychać ostry warkot motocykla. Wyglądam przez okno kaplicy.

Wzdłuż ulicy w obłędnym strachu ucieka jakiś żołnierz z „Volksturmu.” Chciał uciec na drugą stronę obozu. Na próżno. Obóz zamknięty, musi zostać.

Naraz od strony osiedla SS słychać jakiś

Pokaz niemieckiej kultury

Po procesie przeciwko lekarzom w Norymberdze

Rozpoczęty, w dn. 23 grudnia 1946 r., przed amerykańskim trybunałem wojennym, proces przeciwko 23 niemieckim lekarzom i uczonym, oskarżonym o popełnienie w okresie wojny zbrodni przeciwko ludzkości, dopuszczenie się pogwałcenia praw wojennych i przynależność do zbrodniczej organizacji SS, zakończył się po przeszło 8-mio miesięcznym trwaniu, w dn. 24 sierpnia b.r., ogłoszeniem wyroku, mocą którego siedmiu oskarżonych skazanych zostało na śmierć, pięciu na dożywotnie więzienie, a czterech na kary długoletniego pozbawienia wolności; siedmiu oskarżonych, sąd uwolnił.

Wyrok ten jeszcze raz potwierdza niezbicie, że w narodzie niemieckim, nawet wśród tych jego przedstawicieli, którzy z racji swego wykształcenia, wysokiego powołania, stanu czy zawodu, w postępowaniu swoim winni byli kierować się względami, przykazaniami etyki, znajdowali się zbrodniarze, którzy bez skrupułów bądź to na rozkaz, czy też w imię takich czy innych, w gruncie rzeczy egoistycznych interesów, nie wahali się popełniać zbrodni, jakie w historii ludzkości, a zwłaszcza w dziejach medycyny zapisane będą jako największa hańba naszego wyrafinowanie-cywilizowanego stulecia.

W okresie odbywania się procesu norymberskiego, przeciwko zbrodniczym lekarzom niemieckim, ogłoszone zostały w Anglii[1]) i w Niemczech[2]) sprawozdania i dokumenty z akt procesowych, przedstawiające szczegółowo doświadczenia i próby medyczne, przeprowadzane i dokonywane w niemieckich obozach koncentracyjnych na ludziach, i to z wiedzą i aprobatą, wprost na zarządzenie i rozkaz naczelnych niemieckich władz wojskowych, przede wszystkim dowództwa lotnictwa i SS.

Próby lotnicze

W obozie koncentracyjnym Dachau, na użytek monachijskiego instytutu medycyny lotniczej, przeprowadzane były na żywych ludziach potrzebne lotnictwu próby w specjalnie konstruowanych kamerach o zmniejszonym ciśnieniu powietrza, przy czym wytwarzano sztucznie ciśnienie, odpowiadające ciśnieniu powietrza na wysokości 21 tysięcy kilometrów, ciśnieniu, jakiego żaden człowiek znieść nie może, i które nieuniknienie powodować musiało zgon ofiary. Dla stwierdzenia reakcji ofiary w kamerach doświadczalnych wbudowane były aparaty kinematograficzne, elektrokardiografy i najprzeróżniejsze lekarskte aparaty rejestrujące, które n.p. notowały drgania serca ludzkiego, aż do całkowitego zamarcia jego działania.

Przy tych doświadczeniach okrutnie zabitych zostało ponad 120 ludzi, Rosjan, Polaków, Żydów i Niemców.

Zamrażanie

Celem ustalenia odporności organizmu ludzkiego na niskie temperatury używano w obozie koncentracyjnym Dachau więźniów do doświadczeń w zimnej wodzie, przy czym żywych ludzi wrzucano do basenu z wodą o temperaturze od 2 do 12 stopni, w której męczonych w ten sposób trzymano nawet do pięciu godzin. Do prób tych użyto przymusowo około 300 więźniów. Z nich zmarła przeszło trzecia część.

Osobnego rodzaju doświadczenia przeprowadzano także w ten sposób, że nagich więźniów z nacinanymi na ciele, przeważnte na członkach, ranami wypędzano w porze zimowej, szczególnie nocą, na zamknięty plac przed odosobnionym blokiem doświadczalnym i zmuszano ich do przebywania na mrozie niekiedy przez kilka godzin.

Dla wypróbowania możliwości „ratowania" zmarzniętych przy pomocy ciepła drugiego osobnika ludzkiego (durch animalische Warme) posługiwano się szczególnie wyrafinowaną metodą: używano do tego niemieckich dziewek ulicznych, które po jednej lub dwie musiały układać się w łóżku obok na pół żywej ofiary. Lekarze i studenci niemieccy pilnie obserwowali następnie oraz utrwalali na osobnych wykresach linii krzywych reakcje seksualne męczonego człowieka.

Doświadczenia takie wykonywane były również w obozie koncentracyjnym Oświęcim.

Dowództwo lotnictwa niemieckiego pragnęło stwierdzić możliwość używania wody morskiej do picia. Kwestia ta była ważna z powodu coraz częstszego strącania samolotów niemieckich do morza. Ponieważ nie można było jej rozstrzygnąć na drodze naukowych badań teoretycznych, zdecydowano się na dokonywanie prób na ludziach. Kierował tymi doświadczeniami naczelny lekarz kliniki uniwersyteckiej w Wiedniu.

Tym okrutnym, nieludzkim próbom poddano w przeciągu czterech tygodni 40 więźniów, zdrowych, przeważnie Cyganów, i innych, w porównaniu z cenną rasą germańską „mało wartościowych" ludzi. W ciągu około czterech tygodni podawano tym nieszczęśliwym kontrolowane, coraz mniejsze dawki wody do picia, zmuszano ich do picia wody solonej, albo też całkowicie na pewien okres wodę im wstrzymywano. Niemieccy uczeni naprzód, jeszcze przed rozpoczęciem tych prób, obliczyli skrupulatnie, że przy takim pojeniu pacjent winien był umrze w dwunastym dniu doświadczeń.

„U niektórych pacjentów stan osłabienia, szczególnie zaś pragnienie doprowadziło już po kilku dniach do tego, że nie byli oni w stanie opuścić łóżka. Zdarzało się często, że pacjenci pili brudną wodę z kubłów ze zlewkami personelu szpitalnego, a niektórzy zlizywali wodę z podłóg, podczas ich zmywania' — podaję jeden z dokumentów.

Zakażanie tyfusem

W obozach Buchenwald i Natzweiler, a także bodaj w Dachau, przeprowadzane były doświadczenia na chorych, zakażanych tyfusem. Zdrowym więźniom, uodpornionym na zakażenie szczepionką przeciwtyfusową, wstrzykiwano dawkę krwi chorego na tyfus lub też dawkę sztucznych kultur tyfusowych. W Narzweiler doświadczeniami tymi kierował profesor higieny na wydziale lekarskim uniwersytetu w Strassburgu, a i w innych obozach próby te odbywały się pod kierownictwem i nadzorem profesorów uniwer' syteckich.

Podobne próby z żółtaczką urządzano w wielu obozach koncentracyjnych, zwłaszcza w Dachau.

Flegmona

Jeszcze inne doświadczenia wykonywano w obozach koncentracyjnych przez zakażai nie ran. Kierował tymi doświadczeniam-





Piękno kościołów polskich

Z lewej: *Dominikanie w Krakowie.* Z prawej: *Kościół św. Krzyża w Żywcu.*

---

hałas, wzmagają się krzyki. Wyglądam przez okno, z drugiej strony, kaplicy.

Widzę!...

Jezu Dobry!

Nareszcie!

Widzę... Zza węgła krematorium wyskakuje w bojowym rynsztunku dwóch żołnierzy. Skokami podbiegają do wieży strażniczej obozu. Zakurzone ich mundury polowe, hełmy maskowane gałązkami, w ręku pistolety automatyczne. Jeden z nich wysoki, szczupły, — pewnie dowódca, obok pośpiesza żołnierzyk mały, dzieciuch prawie, krzepko jednak dzierżący automat.

Patrzę przez łzy, nadbiegające mi z nagła do oczu. Dziwny skurcz chwyta za gardło...

Żołnierze — wyśnieni wybawiciele zza morza, tak długo oczekiwani.

Nareszcie!

Bogu niech będą dzięki!

Inne ich hełmy, inne mundury, inne karabiny, ciężkie, masywne. Inne obuwie, miękkie, zamszowe trzewiki, inny lekki jakby koci bieg.

Wybawiciele — Amerykanie!

W kaplicy poruszenie, zamieszanie. Jedni cisną się do drzwi wyjściowych, inni wyskakują przez okna. Większość pada na kolana przed Panem, wszyscy mają łzy w oczach. Modlę się z innymi wesrchnieniem krótkim, jak strzała ostrym:

Te Deum laudamus!

— Iżeśmy do ostatniej chwili wytrwali na placówkach naszych w Ojczyźnie przy kościołach i owieczkach, naszej pieczy powierzonych.

Ciebie Boga chwalimy!

— Iżeś dał nam moc przetrwania i nadziei nam nie odjął.

Ciebie Boga chwalimy!

— Iżeś nam dnia dzisiejszego doczekać dał i skarbem największym na świecie — wolnością obdarzył.

Ciebie Boga chwalimy!

— Że z piekła Dachau żywymi nam wyjść dozwalasz,

Ciebie Boga chwalimy!

— Za koniec mąk, za darowane życie niech będzie:

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu.

Wyszedłem z innymi z kaplicy. W obozie radość, entuzjazm, szał...

Wszystkie narody zmieszane, cała Europa na ulicy i przy drutach. Wynędzniali więźniowie płaczą, krzyczą, biegają w koło, padają sobie w objęcia, całują...

Całuje Niemiec Bolszewika, Grek Holendra, smagły Serb Belga, Hiszpan Norwega, Polak Francuza.

Treuga Dei — Pokój Boży!

Na dachach baraków mrowie ludzi. Wszystko gestykuluje, krzyczy, skacze i śpiewa. Na dachach baraków zakwitają nagle przygotowane przedtem sztandary wszystkich prawie narodów Europy. Biało-czerwony polski, trójkolorowy francuski i sowiecki czerwony z sierpem i młotem, wszystkie kolory i barwy.

Zbliżam się do ogrodzenia. Ostre nożyce Amerykana przecięły już druty. Fala więźniów przeskakuje fosę, niezdarnie przełazi przez kolczastą plątaninę, drze liche ubrania. Jakiś więzień, który wybiegł nakryty tylko kocem i zgubił go na drutach, przenagi, przeraźliwie chudy szkielet. Tłumy otaczają żołnierzy amerykańskich, wiwatują, krzyczą, ściskają, całują. Żołnierze zakurzeni, spoceni, na twarzach ich i w oczach widać jeszcze podniecenie po świeżo stoczonej walce. Uśmiechają się jednak przyjacielsko, pozdrawiają. Ale jeszcze bystrym wzrokiem oblatują badawczo otoczenie, jeszcze ręka krzepko ściska karabin, bo nieprzyjaciel tuż. Walka jeszcze nie skończona.

Przy najbliższej wieży strażniczej widzę 7 trupów SS. Leżą pobici, jeden obok drugiego, nieruchomi, w kałużach własnej krwi. Już nie groźni. Trupie główki na czapkach i kołnierzach, złowróżbne znamię dla innych, stały się im rzeczywistością. Ci zapłacili życiem za zbrodnie swoje i swoich poprzedników. Patrząc na nich, wspomniałem na słowa Psalmisty: „A ty przecież swymi oczyma ujrzysz pomstę nad grzesznymi," którem często powtarzał w dniach niedoli, w dniach ucisku i krzywd.

Tłumy gromadzą się na placu apelowym. Na pierwszy apel ludzi wolnych.

Na ganek „Jourhausu" przy wieżyczce obserwacyjnej wchodzi amerykański kapelan wojskowy. Przemawia, sam wzruszony, do rozentuzjazmowanych tłumów. Mówi krótko, dobitnie.

„Bracia, jesteście wolni! A tę upragnioną wolność zawdzięczacie w pierwszym rzędzie waszemu Więźniowi Nr. 1 — Jezusowi Chrystusowi, który tutaj utajony w waszej kaplicy obozowej z wami przebywa! Podziękujcie przede wszystkim Jemu."

I klęka tłum z różnych narodów i wyzrań złożony, a z wieży „jourhausu" spływa uroczyste, w zrozumiałym dla wszystkich byłych więźniów języku:

„Vater unser, der Du bist im Himmel..."

Z miejsca, skąd wiała zawsze tylko nienawiść, złość i zaprzeczenie wszystkiego, co boskie i ludzkie, płyną uroczyście powtarzane przez wszystkich słowa Modlitwy Pańskiej, głoszącej, żeśmy wszyscy dzieci jednego Ojca.

„Ojcze nasz..."

Lecz walka jeszcze nie skończona, jeszcze nasza wolność nie pewna.

W pobliżu stoją dywizje Wikkingów, które miały wieczorem wymordować więźniów. Dywizje te świeże i młode, szykują się do kontrataku na Dachau. Amerykanie mają siły zbyt słabe, nie mogą posunąć się naprzód, postanawiają czekać na świeże posiłki. Będą bronić miasta. Nie jest jednak wykluczone, że przy natarciu przeważających sił nieprzyjacielskich będą zmuszeni opuścić miasto i obóz.

Nowa groza zawisła nad nami. Czy wrócą jeszcze nasi prześladowcy? Pobite straże SS, kilka samosądów w obozie i perspektywa powrotu okrutnych Niemców-mścicieli...

Boże, ratuj nas!

Zapadła noc. Nikt nie udał się na spoczynek. Tuż przy obozie ustawili Amerykanie baterię dział, która co kilka minut oddaje salwę na Schleisheim, gdzie gotowała się dywizja Wikkingów do przeciwuderzenia. Rozbijano w ten sposób koncentrację wojsk nieprzyjacielskich.

Na szczęście dla nas Niemcy nie rozporzą-

Karol Gebhardt, lekarz osobisty Himmlera i prezydent Niemieckiego Czerwonego Krzyża!!

Pacjentom nacinano najpierw na ciele, głównie na łydkach dla umożliwienia późniejszej amputacji rany, zakażane następnie przy pomocy bakterii, powodujących ropienie, a także przy pomocy gazów żrąco-parzących. Później wypróbowywano na nich nowo wynalezione środki lecznicze, produkowane przez niemiecki i szwajcarski przemysł farmaceutyczny. W większości wypadków doświadczenia te powodowały nieuniknioną konieczność amputacji nóg. Bardzo wiele ofiar tych zabiegów umarło.

W obozie koncentracyjnym dla kobiet w Ravensbrueck doświadczeniom z flegmoną poddawane były zwłaszcza młode, wyszukanie zdrowe polskie dziewczęta. W jednym z ogłoszonych protokołów zanotowano: „O ile dziewczęta te żyły i miały cierpienia, a nogi ich ropiały i one nie zmarły, zakładano im od czasu do czasu opatrunki, gdy ktoś z personelu miał do tego ochotę.''

W protokołach sądowych zanotowano, że w wypadkaąh, gdy u zakażonych pacjentów śmierć nie nastąpiła, uznawano dokonane infekcje za nie wystarczające i spowodowane widocznie zwykłym „ukąszeniem przez pchły.''

Również w niektórych obozach koncentracyjnych wyjmowano więźniom z ciała kości i wprawiano je innym.

Wykłady na temat tych doświadczeń wygłaszał w niemieckiej akademii medycyny wojskowej wspomniany prezydent Niem. Czerw. Krzyża, Gebhardt, posiadający stopień wojskowy generała. Czołowi niemieccy profesorowie słuchali wykładów tych i brali żywy udział w dyskusji, nie wypowiadając ani słowa nawet najlżejszej krytyki.

Malaria

W obozie Dachau szeroko rozbudowana była stacja doświadczalna malarii. Tam zakażano zdrowym więźniom krew szczepionkami malarii lub też poddawano ich ukąszeniom infekowanych malarią komarów.

Do tych doświadczeń używał kierownik stacji malarycznej, monachijski profesor, Eugen Schilling i jego asystent dr. Brachtl zwłaszcza Polaków i Rosjan, szczególnie zaś polskich księży.

Zabijanie promieniami

Naczelne dowództwo niemieckie nakazało przeprowadzenie w obozach koncentracyjnych Sachsenhausen i Natzweiler doświadczeń dla stwierdzenia skuteczności oparzeń, przy pomocy oliwy „⊕,'' niemieckiego środka bojowego parzącego. Jeden ze świadków w procesie norymberskim zeznał: „Nagim więźniom smarowano kroplę tej żrącej cieczy na przedramieniu, po czym około godziny musieli oni stać z podniesionymi ramionami. Po upływie mniej więcej dziesięciu godzin pojawiały się na całym ciele rany od oparzenia. W szóstym dniu po oparzeniu umierał pierwszy spacjent, w ciągu dni następnych jeszcze siedmiu.''

Kolekcja żydowskich szkieletów

W zakładzie anatomicznym uniwersytetu w Strassburgu zgromadzona została osobna kolekcja szkieletów zabijanych na Wschodzie Żydów. Jedno ze sprawozdań do Himmlera mówi o tym: „Posiadamy zbiory szkieletów ludzi prawie wszystkich ras i narodowości. Nauka niestety dysponuje zbyt małą ilością szkieletów żydowskich. Wojna na Wschodzie daje nam okazję, aby temu brakowi zaradzić.''

Przed odcięciem głowy od tułowia ofiar dla tego celu zabijanych, robiono najpierw ustaloną ściśle ilość zdjęć fotograficznych i pomiarów antropologicznych. Głowy nie wolno było kaleczyć, po czym konserwowano ją w słoikach, napełnianych specjalnym płynem, i dołączano do posiadanych już kolekcji.

Wspomnieć jeszcze trzeba, że w wielu przytułkach dla starców, w zakładach dla umysłowo chorych i szpitalach zabijano masowo starców, obłąkanych i dzieci obciążone dziedzicznie przy pomocy eutanazji.

*

Fakty, jak opisane wyżej, notuje bodaj po raz pierwszy historia medycyny, zapisują je po raz pierwszy, ze zgrozą, dzieje kultury ludzkiej. Opisy te budzą zgrozę, wstręt i wstyd. Tym bardziej, że przecież popełniały je nie pojedyńcze zwyrodniałe jednostki o wrodzonych zbrodniczych skłonnościach, lecz uczeni luminarze nauki medycznej w narodzie, który jeszcze w czasach nie tak bardzo odległych chełpił się, że jest narodem „kulturtragerów!'' Ci lekarze i profesorowie, którzy miast ratować chorych, zabijali ich posłuszni rozkazom, czy też chciwi zdobycia tajników wiedzy, są wszak przedstawicielami grupy społecznej, stanowią ściśle i wyraźnie określoną i dobraną zbiorowość. Ulegli oni jakiejś straszliwie niebezpiecznej aberacji myślowej, jakiemuś śmiertelnie groźnemu wykolejeniu umysłowemu. Czyny ich przez sąd jako zbrodnie napiętnowane karą, były podeptaniem osobowości jednostki ludzkiej, były zabijaniem praw człowieka, których poszanowanie jest kardynalnym warunkiem utrzymania kultury na świecie. („LECH,'' nr. 5).

1) *British Medical Journal*, 1947/I., *Kenneth Mellanby: „Medical experiments on human beings in concentration camps in Nazi Germany.''*

2) *„Das Diktat der Menschenverachtung,'' Eine Dokumentation von Al. Mitscherlich und Fr. Mielke.*

---

dzali ciężką artylerią. Pociski ich nie dochodziły do nas, rwały się o pół kilometra przed obozem.

Przez noc całą, w pewnych odstępach, błysk i huk, drżenie ziemi i wstrząs baraku. To Amerykanie osłaniali nasz obóz ogniem artylerii.

O drugiej po północy usłyszeliśmy w miasteczku ruch, szczęk i łoskot motorów. Dotarła do obozu rankiem w poniedziałek radosna wieść: ulice zapchane czołgami amerykańskimi. Nadciągnęły główne siły Aliantów i walki przeniosły się na przedmieścia Monachium, o 85 km. od nas.

Byliśmy naprawdę wolni.

Upojeni wolnością i szczęściem, niewyspani byli więźniowie zapomnieli o głodzie. Kto żyw wyległ na ulicę obozową witać zwycięzców i wybawicieli. Żołnierzy i reporterów witano okrzykami, ściskano i całowano.

Jeden poważny już kapłan, były więzień, postanowił osobiście ucałować pierwszego żołnierza amerykańskiego, wkraczającego do obozu. Od rana pilnował przy bramie obozowej. Dojrzał wreszcie urodziwego wojaka, bez karabinu wprawdzie, ale w nowym mundurze, pięknie wyglądającego. Bez namysłu bierze go w objęcia i całuje ognście. Okazało się, że żołnierzem tym była kobieta — młoda reporterka jednego z pism amerykańskich.

— Pax.

Był to pocałunek pokoju i wolności.

KS. JAN PRZYBYSZ

Jesień złoci Szwajcarię

Korespondencja własna ŻYCIA

Szwajcaria, koniec września.

Nie idę drogą turystów, nie stać mnie na to. Oglądam więc Szwajcarię gór i wsi i małych miasteczek. Zwyczajny pociąg osobowy znosi mnie w doliny.

Bazyleja już daleko.

Ciemno zielone bory świerków odcinają się od żółknących łąk. Grube ich cienie, jak czarne chmury, spadają na zalane słońcem doliny, na sady owocowe. Przeważnie grusze. Obrodziły niezwykle, pękate owoce wyglądają z dala jak kiście winogron. Białe drogi opasują wstęgami osiedla i giną w lasach. Wsie tłoczą się gęstwą domów, jak na obrazach ekspresjosistów, domów, które mienią się w słońcu, jak muchomory, bielą ścian i czerwienią dachów.

Ponad kępy drzew wzbijają się dymy: fabryki pracują. — Jakże poruszyła mnie uroda tych dymów! Takie dymy widziałem przed wojną tylko w Łodzi; tylko moje miasto umiało słać je w niebo tak gęsto i tak hojnie...

W Szwajcarii nie było wojny. Nie widać jej śladów ani na ziemi, ani po ludziach.

Ludzie nie mają zmarszczek na twarzach...

Są młodzi, są starzy. Jak wszędzie. Ale ani jedni, ani drudzy nie mają tego dziwnego wyrazu, który dostrzega się na twarzach i w oczach tych, którzy przeszli wojnę. Dopiero tu odkryłem raptownie jak szpecą twarz ludzką przeżycia wojny; wydzierają jej blask harmonii i równowagi. Tu taj — ludzie zachowali przedziwny wyraz życia normalnego.

Na dworcu w Bazylei powszechną sensację wzbudziły Francuzki efektownym maquillage'm. Już drugi tydzień chodzę po szwajcarskich osiedlach, byłem na zjeździe powiatowym w Sins, byłem na kursie nauczycielskim kantonu Aargan w Wohle i nigdzie nie spotkałem umalowanych kobiet. Ujrzę je chyba dopiero w Lozannie, w Bernie, Fryburgu.

Już nie patrzę na krajobrazy. Interesują mnie ludzie.

Jesień jest pełna świetlistej pogody. Można nosić letnie sukienki i jasne garnitury.

Materiały, jak mówiono w Poznańskim — solidne i nobliwe... Ale jakieś to wszystko przesadnie skromne i sztywne, jak na obecne gorąco. Młodzież nie zna spodenek czy shortów. Człowiek chodzi tu ubrany od stóp do głów...

Współczuję urzędnikom. Mundury z kołnierzami zapiętymi pod szyję materiał gruby, wełniany, mięsisty, czapki z daszkami. Na ten widok krople potu występują mi na czoło. Lecz oni sprawiają wrażenie, jakby nie czuli gorąca.

*

Jakiś gwar na peronie. Młodzież wraca ze szkoły. Chłopcy i dziewczęta, lat 17, 18. Tworzą dwie odrębne grupy, oddzielone dwoma krokami, choć rozmawiają z sobą. Chłopcy uśmiechają się do dziewcząt powściągliwie, bezgłośnie. Twarze, usta, osnute dziwną powagą, tylko kącikiem poddają się wesołości. Dlaczego nie flirtują?...

Wchodząc do przedziału, rzuca każdy tradycyjne, jak kiedyś przed wojną i w Bawarii, „Gruess Gott!'' To samo czyni konduktor, kiedy zjawia się po raz pierwszy. W miarę jak mijamy stację po stacji, przechodzi wagony, zapowiadając następną.

Z twarzy ludzi chcę wypatrzeć odblask problemów, które nurtują w ich duszach. Ale to nie łatwo. Ich cały sposób bycia jest taki, jak i ich krajobraz: schludny, unormowany, pogodny, ale poważny. Na 15 mych towarzyszy, 12 czyta gazetę. „Nationalerzeitung.'' Jest w niej dodatek młodzieżowy: „Der kleine Nazi.'' W winiecie tytułowej — chłopiec o pyzatej buzi, w charakterystycznym kepi na głowie. Niemiły ten tytuł: „Nazi''...

Po kilku dniach wracając do tego obazka z wagonu, rozmawiałem z grupą nauczycieli i duchowieństwa. O wszystko pytają z niespokojcym zainteresowaniem: czy obozy koncentracyjne były naprawdę... tak straszne? Rzucam kilka cyfr. Okrucieństwa obrazuję kilku szkicami. Rośnie zdumione przerażenie. Padają słowa potępienia. Lecz więcej jest w nich lęku przed tym, co mogło było ich spotkać, niż współczucia dla tych, którzy cierpieli i cierpią.

Co chwilę ktoś rzuca:

— Ale Rosjanie są jeszcze gorsi!?...

— To też jedno z usprawiedliwień, pomyślałem.

*

Problem niesienia pomocy innym zabarwiony jest interesownym przekonaniem, iż może stać się okupem własnego bezpieczeństwa na przyszłość. Pod tym kątem widzenia ujmuje przeciętny Szwajcar gościnność, jakiej udziela cudzoziemcom.

Na przestrzeni pięciokilometrowej wędrówki po wzgórzach spotkałem trzech cudzoziemców.

Dwudziestoletni Francois jest Francuzem. Już drugie wakacje spędza u rodziny urzędnika pocztowego w Bettwil. Do domu nie tęskni, ani też nie zamierza wracać. Spędzi tu prawdopodobnie cały rok nauki, uczęszczając do miejscowej szkoły. Zaczyna już mówić tutejszym narzeczem „Banerdeutsh.'' Jest lubiany przez gospodarzy i ich dzieci. Chłopiec zaczyna, może po raz pierwszy, oddychać atmosferą rodzinną, przepojoną duchem katolickim.

Drugim moim przygodnym znajomym jest Emre, Węgier z Budapesztu. Na czas wakacji przygarnęła go rodzina miejscowego nauczyciela. Jest zachwycony swymi opiekunami. Oni znów zachwycają się nim. Żywy temperament chłopca przyprawia ich o zdumienie, niepozbawione jednak sympatii dla cech jego usposobienia. Chłopiec przebrał na wadze cztery kilo — ku zachwytowi swoich opiekunów.

Trzecim — jest Hans Kiel, student niemiecki. Przyjechał z siedemnastu kolegami. Od miesiąca pracuje u gospodarza. W przyszłym tygodniu kończy swe zajęcia, potem ma tydzień czasu na zwiedzenie Szwajcarii, a następnie wraca do Niemiec.

— Boję się znowu głodu, powtarza Hans. Tu jest wszystko, jak przed wojną. Tu nie było wojny.

Uśmiecham się.

— Znam wojnę, Hans. Znam coś jeszcze: obóz koncentracyjny!...

Hans pośpiesznie żegna się ze mną, — nagle przypomniał sobie, że musi już iść do pracy.

Wysoka, szczupła postać znika za zabudowaniem. Zza węgła rzuca jeszcze spojrzenie jasnych, niemieckich oczu. Widzę w nich coś z wojny...

Zacieram wrażenie rzutem oka na krajobraz. Między ciemnymi świerkami złocą się gdzieniegdzie pożółkłe liście drzew. W górskiej dali błyszczy bielą wieczysty śnieg.

Szwajcaria oddycha rytmem równowagi i pogody. Odpiera wstrząsy i broni swego nienaruszonego spokoju i słonecznej ciszy swoich gniazd.

— Nasz kraj jest pół-rajem, powtarza z uśmiechem barczysty chłop szwajcarski.

— Daj wam Boże, byście nie przeżyli w nim ani grzechu pierworodnego, ani wygnania, ani jego przekleństwa — mówię mu swą myślą, okrytą milczeniem.

Dr JAN WARCZAK



Rys. St. Westwalewicz
Rzym: Most i Zamek Anioła

ODEZWA BISKUPÓW POLSKICH DO WIERNYCH

Odezwa Episkopatu Polski datowana 8-go września, w czasie uroczystości na Jasnej Górze,— odczytana została w ostatnią wrześniową niedzielę z ambon wszystkich kościołów w Polsce

Ponieważ Odezwę tę otrzymaliśmy dopiero — tuż przed oddaniem numeru na maszynę, ze względów technicznych zmuszeni jesteśmy umieścić ją na 6-tej stronie naszego pisma.

Redakcja

UMIŁOWANI W CHRYSTUSIE PANU!

W pierwszą rocznicę poświęcenia naszego narodu Niepokalanemu Sercu Maryi zebraliśmy się na Jasnej Górze, aby w stolicy Królowej Polski wziąć udział w pielgrzymich modlitwach rzesz katolickich, aby umocnić się w wspólnocie modlącego się Kościoła i aby radzić nad potrzebami życia religijnego w naszej Ojczyźnie.

Zarówno piękny obraz nieprzeliczonych rzesz pątniczych, skupionych u stóp Cudownego Wizerunku Matki naszej, jak i staranne rozważanie wszystkich dziedzin życia katolickiego napełniają nas wielką radością i otuchą. Oto widzimy bowiem, jak naród polski dźwiga się duchowo ku Bogu i jak stara się żyć wiarą na każdy dzień. Widzimy z jak godną podziwu ofiarnością i wytrwałością odnawia i podnosi z gruzów wojennych świątynie, jak szczelnie je wypełnia, trwając na modlitwie, jak daje tyle dowodów swej wierności Bogu i Kościołowi świętemu.

Z prawdziwą dumą możemy powiedzieć o Was słowami Apostoła: „A wy staliście się naśladowcami naszymi i Pana, przyjąwszy słowo wśród wielu ucisków, z weselem Ducha św., tak, iż staliście się wzorem wszystkim wierzącym...” (I. Tes. I. 6, 7).

Przykre objawy

Tym radosnym i krzepiącym ducha obrazom naszego życia religijnego to warzyszy jednak pewien niepokój. Nie brak bowiem wśród nas przykrych objawów, które rażą swym odosobnieniem i bolesnym rozdźwiękiem na tle zwartej i jędrnej postawy katolickiego społeczeństwa. Mają miejsce fakty, godzące w świętość wyznawanych przez naród prawd wiary, sprzeczne z dostojnością moralności katolickiej, podważające wiarę ludu, dobre obyczaje i uznaną cześć Bożą. A jest ich cały szereg tak, iż odnosi się wrażenie istnienia jakiejś rozmyślnie kierowanej, ukrytej walki z Bogiem i z Kościołem.

Wobec tych godnych pożałowania objawów, My, Biskupi polscy, odpowiedzialni przed Bogiem za powierzony Nam skarb i całość Wiary św., za należną Imieniu Bożemu cześć, za zbawienie dusz, — wzywamy Was, Katolicy, do mężnej, choć spokojnej i godnej obrony czci Bogu należnej.

Wzrastająca zuchwałość bluźnierców

1. Podnosimy swój ostrzegawczy głos *przeciwko wzrastającej zuchwałości bluźnierców*, którzy w sposób coraz to natarczywszy, czynią przedmiotem żartu, zabawy, igraszki, to wszystko, co dla nas drogie, co łączy się ze świętym Imieniem Boga Chrystusa Pana, Matki Najczystszej, Kościoła świętego. Obrzędy religijne, zwyczaje i obyczaje chrześcijańskie są wyśmiewane w czołowych pismach. Dla tych, na szczęście nielicznych ludzi, nic nie ma świętego, nic przed czym zatrzymaliby swoje zuchwałe pióro. Wyzuci z przyzwoitości i z wiary w Boga nie umieją jej uszanować w duszy wierzącego Narodu.

Przeciwko tej nowej modzie bluźnierczego bawienia się Wiarą naszą podnosimy stanowczy sprzeciw, w imię Bożego przykazania: *„Nie będziesz brał Imienia Pana Boga Twego nadaremno!”* A Wam, Katolicy, wkładamy w usta prośbę Chrystusa Pana do Ojca: *„Święć się Imię Twoje!”* Strzeżcie się pobłażliwości wobec pism, żyjących z bluźnierstwa, nie bierzcie ich do ręki i ostrzegajcie Braci, by własnym groszem nie potęgowali narzędzia obrazy Boga.

Rozbijająca działalność sekciarstwa

2. *Z równą siłą podnosimy Nasz pasterski głos ostrzegawczy przeciwko rozbijającej Naród działalności sekciarstwa.* Przez ziemie polskie płynie tłum wysłanników różnych sekt, które za pieniądze, za łyżkę strawy, za paczki pozyskują sobie przejściowo zwolenników wśród zubożałej podczas wojny ludności, odbijanej wkrótce przez tych, co więcej płacą. Zastanawia Nas wielka zuchwałość i widoczne, zwłaszcza w prasie, poczucie bezkarności sekciarzy. Ton artykułów, ogłaszanych w pismach i ulotkach sekciarskich, pogardliwy sposób wyrażania się o Kościele i jego nauce, nie ma już nic wspólnego z jakąś wiarą, z prawdą i z ogólnie uznawaną przyzwoitością.

Komuż może zależeć na tym rozbijaniu przez sekty jedności Narodu? Komu zależy na tych, tak osobliwych, obyczajach walki z religią, tak obcych dotąd prasie polskiej? W tej walce sekciarstwa musimy dostrzec wielkie niebezpieczeństwo, które grozi nie tylko jedności Wiary świętej, ale też i upragnionej jedności Narodu. Nalegamy na Was, Bracia, abyście „zachowali jedność Wiary w związce pokoju!”

Zamach na szkołę katolicką

3. *W wytężonej pracy całego Narodu i Kościoła nad wychowaniem młodego pokolenia* Katolicy biorą niezwykle czynny i bardzo owocny udział. Wszak rodzice chrześcijańscy ofiarnością swoją stworzyli tyle szkół, tak bardzo zasłużonych dla Narodu. Wszak utrzymują je wytrwale przy życiu wspomagając wydatnie Państwo w jego trosce o rozbudowanie sieci szkolnej. Przy dzisiejszym zubożeniu naszym jest to pomoc godna najwyższego uznania. Niemałą zasługę i wdzięczność społeczeństwa zaskarbiły sobie szkoły katolickie, zwłaszcza zakonne. Nawet przeciwnicy tych szkół muszę podkreślić z uznaniem wysoki poziom ich nauczania i wychowania.

Pomimo tego nie brak dziś ludzi, którzy są nieprzejednanymi przeciwnikami -szkolnictwa prywatnego i zakonnego i zdają się nie doceniać wielkiego, twórczego wkładu pracy i społeczeństwa katolickiego. Zastanawia Nas źródło tej nieufności do szkół prywatnych i katolickich. Niepokoją Nas częste autorytatywne zapowiedzi ograniczenia dalszego rozwoju tych szkół, których istnienie jest przecież najlepszym sprawdzianem uszanowania prawa rodziców do wolności nauczania i wychowania. Źle wyrachowana oszczędność czasu w szkole doradza dość często ograniczenie godzin na nauczanie religii, zwłaszcza w szkołach zawodowych. Podważa to skuteczność wychowania moralnego, bez którego nie można wyobrazić sobie zdrowego życia zawodowego.

W tej trosce o wychowanie niemałym powodem radości jest godna pochwały postawa naszej młodzieży, tak mężnej w wyznawaniu Wiary świętej, tak wytrwałej w modlitwie i tak budującej w sumiennym wypełnianiu praktyk religijnych. Wie ona dobrze, że religia w szkole jest nie tylko przedmiotem nauczania, ale ponadto, jest zasadą życia i niezdownym czynnikiem wychowania nowego człowieka.

Niechże rodzice katoliccy i nadal doceniają wielki zaszczyt wychowywania swych dzieci, wyświadczony im przez Boga. Niech starannie strzegą swych praw w szkole, niech w godzinie wypełniają wychowawcze obowiązki, które płyną z wysokiej godności ojcostwa, niczym nie dającego się w pełni zastąpić.

Wychowanie dzieci na wzór hitlerowski

4. *Nie mniej groźne niebezpieczeństwo*, godzące tym razem w duszę najniewinniejszych, *widzimy na odcinku wychowania dzieci*. Powstały bowiem zakłady wychowawcze, które przyjęły sobie za cel wychowania t. zw. człowieka nowego, to jest człowieka pozbawionego wiary w Boga, nie znającego już Imienia Chrystusa Pana, na modłę osławionych szkół hitlerowskich. Istnieją liczne „domy dziecka,” w których nie ma krzyża świętego, w których już zamilkła pieśń „Kiedy ranne wstają zorze,” w których nie ma zwyczaju wspólnie się modlić, w których dziecko, podnoszące rączkę do czoła ze znakiem Krzyża św., jest ośmieszane, w których wychowawcy są zobowiązani do milczenia o Bogu, jak gdyby największym wrogiem dziecięcia był Ojciec Niebieski i Boży Syn. A przecież— któż zdoła wskazać dziatwie naszej piękniejszy wzór nowego człowieka, nad Jezusa Chrystusa, który duszę Swą oddał za braci?

Katolicy! trzeźwymi bądźcie i nie pozwólcie dziatwy Waszej odrzeć z najwspanialszych darów człowieczeństwa, z dziecięctwa Bożego!

Uznajemy tylko takie wychowanie, które — przy całej zdrowej trosce o ciało i o urobienie społeczne — nie zapomina o Stworzycielu ciała i duszy ludzkiej, o Bogu, który przez miłość ku bliźnim położył raz na zawsze trwały fundament dla wszelkiego wychowania społecznego.

Przypominamy Wam, Bracia, że nadal ciąży na Was poważny obowiązek stosowania się w wychowaniu dzieci do wykazań Kościoła, nakazujących religijne wychowanie na wszystkich stopniach nauczania, zgodnie zresztą z postanowieniami Konstytucji Państwa Polskiego.

Mamy pasterski obowiązek upomnieć się szczególnie o sieroty powojenne, które skupione są w różnych schroniskach, pozbawione nauki religii, modlitwy, Mszy św., jak gdyby nie były dziećmi Bożymi. Nie można pozbawiać sierocych dzieci opieki Najwyższego Ojca. Dziatwie tej należy też zabezpieczyć wychowanie i opiekę religijną, możność modlitwy i udział w życiu Kościoła świętego.

Gwałcenie niedzieli i świąt

5. *Wdziera się do naszego życia społecznego niebezpieczny objaw gwałcenia charakteru religijnego niedzieli i świąt.* Coraz częściej widzieć można, zarówno w miastach, jak i na wsiach, ludzi pracujących w święta przy budowie, czy na roli. Przez te rzadko dające się usprawiedliwić objawy, możemy utracić doniosłe dobro: religijny charakter dni świętych i spokój społeczny, tak niezbędny dla pełnego wypoczynku znużonych całotygodniową, coraz to cięższą pracą ludzi. Przykre te fakty zbyt nam przypominają niedawne smutne czasy, kiedy lud nasz pędzony był przez najeźdźców do robót przymusowych, dla szykany, nawet w najbardziej uroczyste święta kościelne i narodowe. I dziś wynajdywane są zbyt często rzekomo pilne prace, do których wzywana jest ludność mająca przecież prawo do wypoczynku świątecznego. Nie zapominajmy jednak, że *„jeśli Pan nie zbuduje domu, naprożno pracują, którzy go budują”* (ps. 126). Nie ustawajmy w sumiennym wypełnianiu przykazania Bożego: *„Pamiętaj, abyś dzień święty święcił.”*

Bezpodstawne i zbędne ograniczenia swobody obywatelskiej

6. *Zabezpieczenie wolności obywatelskich w rozumnych granicach potrzeb dobra ogólnego*, jest jednym z warunków zdrowego pokoju i ładu społecznego. I dlatego pragniemy, aby zniknęły z naszego życia bezpodstawne i zbędne ograniczenia swobody obywatelskiej. Wywieranie nacisku na katolików, by wstępowali do partii politycznych o zasadach niezgodnych z Wiarą św., niekiedy pod grozą pozbawienia ich prawa do świadczeń materialnych, uzależnianie prawa do pracy od wstąpienia do partii, ocena wartości społecznej ludzi według klucza partyjnego — wszystko to są objawy godne ubolewania, gdyż dzielą obywateli na różne kategorie, bez znaczenia dla wzrostu pomyślności zbiorowej.

Krzywdząca i upokarzająca działalność kontroli i cenzury prasowej

7. *Do najbardziej krzywdzących i upokarzających ograniczeń zaliczamy działalność kontroli i cenzury prasowej*, która w swej dowolności przekracza tak często granice wymogów państwowych, nie oszczędza najwyższych autorytetów moralnych, ogranicza Kościół w jego boskim prawie nauczania, tamuje swobodę ogłaszania encyklik Stolicy Świętej, listów pasterskich a nawet katolickich książek ściśle naukowych i podręczników do nauki religii, pacząc przez to dzieje Kościoła świętego i ocenę jego roli kulturalnej w świecie. Nie wspominamy już o doli prasy katolickiej, której los niemal całkowicie spoczywa w ręku urzędów kontroli prasowej, tak pobłażliwych dla pism sekciarskich, a tak krępujących swobodę pism katolickich, ilekroć chcą one wystąpić w obronie naruszanej przez bluźnierstwa czci Boga.

Wszystko to dzieje się pod pozorem walki z wstecznictwem, z ciemnotą i zacofaniem społecznym. A przecież gdzież znajdziemy więcej światła, postępu i odwagi w podejmowaniu zdrowych reform społecznych, jeśli nie w nauce encyklik społecznych, w życiu z Wiary, która prowadzi za Chrystusem, Ojcem przyszłego wieku, do prawdziwego postępu ludzkości.

Powszechna odpowiedzialność wiernych za losy Kościoła w Polsce

Przedstawiliśmy Wam, Umiłowani Bracia w Wierze, nasze troski o całość i czystość Wiary świętej, której bronić do ostatniego tchu mamy obowiązek. Wyłożyliśmy nasze obawy z tym pełnym zaufaniem do Was, którzy zwycięsko wytrzymaliście „próbę Wiary,” — w nadziei, że czyste nasze intencje właściwie ocenicie. Czynimy to z pokorą u stóp Maryi, w rocznicę oddania Narodu Jej Niepokalanemu Sercu, ufni, że przemożne Jej pośrednictwo wyjedna nam męstwo w Wierze, ducha miłości i pokoju w walce o chrześcijańskie jutro Polski i łaskę wytrwania aż do końca.

Nie zapominajcie, że odpowiedzialność za skarb Wiary w duszach Waszych, za losy Kościoła w Narodzie, spoczywa nie tylko na Biskupach i kapłanach, ale i na Was, Umiłowani nasi domownicy Wiary! Macie moralny obowiązek wyznawać Wiarę Waszą przed ludźmi! Macie obowiązek dawać mężnie świadectwo Prawdzie, bronić zasług Kościoła na polu moralności życia publicznego i kultury narodowej.

Słusznie możecie być dumni z Waszego związku z Kościołem! Jesteście bowiem dziećmi wspaniałej Matki, która tyle łez otarła na świecie, tyle serc poruszyła do czynienia dobrze Braciom, a mlekiem Bożej mądrości wykarmiła ludzkość całą i nadal czyni to bez zdrady!

A więc: *„Czuwajcie, stójcie w Wierze, mężnie sobie poczynajcie i wzmacniajcie się”* (I. Kor. 16, 13).

Błogosławieństwo

Błogosławieństwo Boga Ojca najlepszego, Pana naszego Jezusa Chrystusa i łaska Ducha świętego niech spłynie przez Serce Niepokalanej Dziewicy, Matki Naszej, na głowy Wasze i niech pozostanie zawsze z Wami!

Dan na Jasnej Górze, w uroczystość Narodzenia Najśw. Maryi Panny, 1947 roku.

AUGUST KARD. HLOND



200 LECIE URODZIN J. WYBICKIEGO

Dnia 29 września minęło 200 lecie urodzin Wybickiego. W tym roku też minęła 150 rocznica „Jeszcze Polska nie zginęła.” — Obie rocznice przeszły dziwnie niedostrzeżone przez prasę emigracyjną.

Kraj uczcił 200 lecie urodzin Wybickiego. Przede wszystkim uczyniła to stolica Kaszub, Kościerzyna, gdyż senator i generał Wybicki jest synem tej ziemi. Młodzież gimnazjum kościerzyńskiego ufundowała pomnik z tablicą pamiątkową. Samorząd powiatowy w miejscu urodzenia Wybickiego, w starym dworku, w Bendoninie pod Kościerzyną zakłada Uniwersytet Ludowy. Bardzo właściwy wyraz hołdu dla człowieka, który w trudnych dla Polski czasach końca 18 wieku kroczył w szeregach postępu i walczył o prawa warstw wówczas uciśnionych.

Józef Wybicki, ur. się 29.9.1747, zmarł w 1822 w Manieczkach pod Śremem, pochowany został w Brodnicy. Życie jego nawinęło się na tragiczne wypadki końca Rzeczpospolitej, powstanie kościuszkowskie, Legiony Dąbrowskiego, Księstwo Warszawskie, Królestwo Kongresowe. Jest tych wypadków znaczną cząstką, zwłaszcza działalności stronnictwa reformy za Stanisława Augusta i Legionów Polskich we Włoszech. Wybickiego, mimo smutnych dla Kraju czasów, w których żył, cechował zdumiewający optymizm i wiara w przyszłość Polski. (t.)

MARMUROWA KOPIA „MOJŻESZA” JUŻ GOTOWA

SZCZECIN. — Zaofiarowany przez społeczeństwo Szczecina dla Warszawy wspaniały posąg Mojżesza — kopia arcydzieła Michała Anioła, wykonana z jednej wielkiej bryły marmuru kararyjskiego — jest przygotowana do transportu. Posąg waży około 5 ton i ma 2 metry wysokości.

TYSIĄCZNA ŁĄCZNICA TELEFONICZNA

BYDGOSZCZ. — Zakłady Teletechniczne Krzymin i Paszke w Bydgoszczy obchodziły wyprodukowanie tysiącznej łącznicy telefonicznej ręcznej. Produkcja ta wyraża się sumą 20 tys. numerów telefonicznych. Jednocześnie położono kamień węgielny pod dalszą rozbudowę Zakładów.

JEDEN TKACZ NA DWÓCH KROSNACH

„BIELSKO. — W przemyśle włókienniczym w Bielsku stosuje się — na próbę — pracę tkaczy na dwóch krosnach równocześnie. Zastosowanie tego systemu przyczyni się niewątpliwie do wzmożenia efektów wyścigu pracy. Pierwsze wyniki po zastosowaniu tej metody wykazały poważny wzrost produkcji i wzrost zarobków do 60%.” („*Życie Warszawy*”).

(To, co „*Życie Warszawy*” nazywa „wyścigiem pracy,” jest po prostu systemem nie bywałego wyzysku sił robotnika, sowiecka stachanowszczyzna, w Polsce zwana „Pstrowszczyzną”).

ROLNICY W CAŁYM KRAJU OTRZYMUJĄ NAWOZY SZTUCZNE

W sezonie jesiennym gospodarstwa rolne otrzymały 272.038 ton nawozów, z czego azotowych 69.102 ton, fosforowych — 129.050 ton (w tej ilości z importu 50 tys. ton tomasyny belgijskiej) oraz nawozów potasowych — 73.886 ton (całkowicie z importu).

Majątki państwowe przemysłowe, wojskowe, związki branżowe i zakłady doświadczalne otrzymały w drodze bezpośrednich dostaw 68.700 ton nawozów sztucznych. Resztę nawozów w liczbie 203.338 ton otrzymały spółdzielnie, rozrzucone po całym kraju. Nawozy te rozprowadzono pomiędzy gospodarstwa rolne na warunkach ustalonych uchwałą Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów.

30 JEDNOSTEK Z DNA ODRY

Wrocław. Opracowany został już plan oczyszczenia rejonu ujścia Odry z wszelkiego rodzaju zatopionych jednostek pływających. Władze morskie przewidują wydobycie w r. b. jeszcze 30 jednostek. Przy pracach tych zatrudnionych będzie 6 dźwigów pływających.

KRONIKI

Dlaczego było tak dobrze kiedy jest tak źle?

JESZCZE rok temu w literaturze polskiej było wszystko o'key. Był genialny Breza, genialny Dygat, najgenialniejszy Brandys. Literatura kwitła, rozwijała się, rosła, zadziwiała świat i „Kuźnicę” (którą, jak wiadomo, trudniej jest zadziwić!). Genialny był Kott, genialny (trochę mniej) Sandauer, najgenialniejszy J. A. Szcz (epański). A tu nagle — klapa. Sam Kott, w wielkim frontalnym ataku, stwierdza, że jest bardzo źle, że Brezy nie ma, że u Brandysa „publicystyka... jest tylko sypkim piaskiem retoryki, która zastępuje niedowład (u Brandysa?!?!) obserwacji i fabuły,” że „Miasto niepokonane” jest jak piosenka „Warszawo, ty moja Warszawo...”, że Dygat lepiej aby był królem niemieckim, że Sandauer uciekł do Paryża zrewidować swój światopogląd, że Szczepańskiego już nawet najwięksi zwolennicy świadomego ograniczania potomstwa nie mają siły czytać, że „Kuźnica” zaplątała się w pępowinę łączącą pokolenia, że Iwaszkiewicz to tylko dzielny rzemieślnik zeszłego dwudziestolecia, że wprawdzie Kott jest nadal genialny, ale...

Dlaczego więc było tak dobrze, kiedy jest tak źle? Dlaczego dziś, kiedy mamy powieść Gołubiewa i powieść Rembeka, Kott nie widzi wcale powieści, natomiast widział ją przed rokiem, kiedy „Kuźnica” zachłystywała się „Miastem niepokonanym,” a „Odrodzenie” — „Murami Jerycha?”

A może by p. Kott pojechał także do Paryża zrewidować swój światopogląd?

MAŁY ŚWIATEK

LITERACI u nas zaczynają się coraz wyraźniej dzielić na dwie grupy: jedna grupa pracuje, męczy się, pisze, tworzy — i o niej jest głucho, bo na czytanie książek nikt z naszych zoilów nie ma czasu, druga — nie pisze, a za to gada, pije kawę, plotkuje, decyduje o nagrodach, o „poziomie” — i o niej jest bardzo głośno. Ludzie z pierwszej grupy jeśli napiszą książkę na rok — to już się ich uważa za „królików” (Chesterton pisał średnio trzy książki na rok), ludzie z drugiej grupy jeśli coś spłodzą raz na parę lat — to się ich zaraz wysyła na urlop, aby odpoczęli po przepracowaniu. Pierwsi martwią się, gdy widzą, że książka jest droga, i tym, że trudno jest wyżyć z jednej książki, napisanej w ciągu roku; drudzy niczym się nie martwią, bo książek nie piszą, natomiast co pewien czas pisują w jednym z licznych i dobrze płacących pism, o tym, że nie ma „poziomu,” i że tylko oni są genialni. Pism tych wprawdzie przeciętny czytelnik prawie nie czyta, za to czyta się je dokładnie w kawiarni. Tam mają wagę „przeglądy prasy,” „kroniki tygodniowe,” „noty” itp. Od tego się podatku chyba nie płaci, bo by się w końcu ktoś zajął podatkami, które płacą tworzący artyści.

I tak się toczy światek literacki. Jedni są w nim coraz więcej p a r i a s a m i, bo pracują, bo piszą, bo zbierają materiały, bo czytają, bo płacą podatki, bo nie mają mieszkań, bo są uważani za „niepracujących.” Drudzy zostali u r z ę d n i k a m i. Odwalają swoje „kroniki,” czy „listy z Pikutkowa” i uważają, że to jest właśnie literatura!

„DZIŚ I JUTRO”, Nr. 38 (95)

Przegląd prasy

Zbrodniarze Katynia przed sądem

Pod tym wielce — jak na Kraj — drażliwym tytułem, czytamy w „*Życiu Warszawy*” (Nr. 257):

„NORYMBERGA (Obsł. wł.). — Rozpoczął się tu proces przeciwko szefowi oddziału SS do spraw nadzwyczajnych, Ottonowi Uhlendorfowi, oraz jego 22 podwładnym oficerom.

Oskarżonym, którzy działali we wschodniej Europie, zarzuca się zabicie półtora miliona Żydów, Cyganów oraz komunistów. *Stoją oni również pod zarzutem zgładzenia 12.000 polskich oficerów w Katyniu.*

Wszyscy oskarżeni nie przyznają się do winy, tłumacząc się istnieniem dokładnych instrukcyj w myśl których działali.

Dwóch oficerów, Rash i Strauch, zemdlało podczas czytania aktu oskarżenia, kpt. Hausman popełnił samobójstwo.”

Teraz już wiadomo, gdzie szukać sprawców tej straszliwej zbrodni...

Mają nieczyste sumienie wobec Polski

Niech ich przyjmie „Vaterland”

Pod tym tytułem czytamy w „*Głosie Ludu*”:

130 pociągów z Niemcami opuściło w ostatnich dniach ziemie województwa śląsko-dąbrowskiego. Ostatni Niemcy znikają tym samym z terenu, na którym pasożytowali przez kilka wieków.

Są między nimi ci, którzy zawsze trzymali się swej niemieckości, nawet w czasie międzywojennego dwudziestolecia. Korzystali wówczas z życzliwej pobłażliwości sanacyjnych władz, nie doceniających, a raczej nie chcących doceniać niebezpieczeństwa niemieckiego. Twarze tych ludzi, skupionych w grupki przed pociągiem repatriacyjnym — wyrażają teutońską zaciętość. Nierzadko jeszcze teraz odgrażają się Polakom: „My tu powrócimy.” Spoglądają z nadzieją na Zachód, który już raz pozwolił odrodzić się ich potędze, a i teraz — nic nie ma przecież tak dawno... Inna grupa, przerażona okupacyjnymi ograniczeniami w „Vaterlandzie” — jest przygnębiona, skłonna do poniżających próśb o pozostanie w zasobnej Polsce, w której dotyąhczas dobrze im się działo.

W ostatnim transporcie, z 19 bm., oprócz rdzennych Niemców, znalazła się i grupka renegatów. Ci czują się najgorzej. Wielu pokornie dziś błaga o przebaczenie. Za późno. Za zbrodnię zdrady, za gnębienie współbraci, nawet za zbyt wygodne życie w czasie, gdy męczył się cały naród — trzeba ponieść karę.

Ta nieliczna zresztą grupa została przeznaczona na transport dopiero wtedy, gdy władze polskie skrupulatnie zbadały ich przeszłość. Wszystko brało się pod uwagę — warunki materialne, rodzinne, nacisk ze strony okupanta — byle tylko nie popełnić jakiejś omyłki. Bo przecież bywały wypadki, że ktoś zapisał dzieci na „volksliste” wbrew ich woli. Wówczas taki nieletni, kreowany na Niemca pod przymusem, miał do wyboru: rodzice, lub ojczyzna. Zdarzały się takie wypadki, gdy ktoś wolał rozstać się z rodzicami, niż z Polską.

W ramach dekretu, z 13.9.1946 r., o wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego osób wykazujących odrębność narodową niemiecką, wypadki takie są dopuszczalne. Ustawodawca przewidział, że dziecko po ukończ. 13 lat życia może objawić wolę pozostania Polakiem.

Ostatnimi transportami z G. Śląska odjechali ci wszyscy, którzy mieli nieczyste sumienie wobec Polski. Problem niemiecki istnieje jednak w dalszym ciągu. Czasem pod płaszczykiem „lojalnego obywatela” ukrywa się dywersant, działający na niekorzyść polskiego państwa. Innym razem — sąsiedzi, bądź ze szczerego patriotyzmu, bądź z pobudek osobistej zemsty, czy chęci zagarnięcia majątku — oskarżają kogoś, że w ostatnich czasach ujawnia przynależność do niemieckiej narodowości. I te wypadki są skrupulatnie rozpatrywane. Wznawia się proces weryfikacyjny i bada nie tylko podsądnych, lecz i tych, co rzucają oskarżenia. A wówczas bywa, że fałszywi oskarżyciele — sami wędrują na ławę oskarżonych.

W tych zagadnieniach społeczeństwo polskie ziem zachodnich musi obowiązywać wielka ostrożność i umiar. Nie skrzywdzić niewinnego człowieka, lecz też pilnie dawać baczenie, by nie odrósł łeb niemieckiej hydry.

Kłopot dla siebie i dla państwa

„*Głos Ludu*” (Nr. 259) biada pod powyższym tytułem:

„Nie wiemy, ile mamy w Polsce ludności, nie znamy liczby narodzin, zgonów i zaślubin. Nie znamy i nie wiemy, choć biura ewidencji z miast i wsi nadsyłają odpowiednie wykazy, choć Główny Urząd Statystyczny ogłasza cyfrowe dane o zagadnieniach ludnościowych w kraju. Statystyki i informacje oparte są na niepełnych, na nieścisłych danych. Nie zerwaliśmy jeszcze z nawykami okupacyjnymi w dziedzinie „meldunkowej,” nie wróciliśmy jeszcze do pożytecznego, przedwojennego porządku w sprawach, związanych z ewidencją ludności, odzwyczailiśmy się od rygorystycznego stosowania słusznych i potrzebnych przepisów prawa cywilnego, do rejestrowania tak ważnych w życiu jednostki i narodu faktów, jak narodziny, zgon, czy zaślubiny.

Niedobrze jest pod tym względem w miastach Polski centralnej, gorzej w miastach na Ziemiach Odzyskanych, zupełnie źle jest na wsi polskiej. Przyczyną tego stanu rzeczy są jednak nie tylko okupacyjne nawyki i lekceważenie przepisów. Nie bez znaczenia jest tu pewne, niestety dość powszechne, pomieszanie pojęć.

Dyskusja, jaka powstała w całej prasie w okresie przekazywania prowadzenia aktów stanu cywilnego władzom administracyjnym, była wprawdzie bardzo ożywiona i zasadnicza, ale nie pozostawiła po sobie głębszych śladów natury informacyjnej. Zdarza się wciąż jeszcze, że zdezorientowany obywatel, zwłaszcza na wsi, nie wie, gdzie ma o ślubie czy narodzinach zameldować; nie wie, bądź też w zupełnie dobrej woli jest przekonany, że po przeprowadzeniu czysto religijnej ceremonii spełnił już ciążące na nim obowiązki.

Ten stan nieświadomości pogłębiany jest przez niektórych przedstawicieli duchowieństwa, celowo nie informujących interesantów o obowiązujących dziś w Polsce przepisach prawnych, świadomie utrzymujących petenta w przekonaniu, że wystarcza ważny tylko dla wewnętrznych spraw kościoła zapis w księdze parafialnej, który nie ma żadnego znaczenia z punktu widzenia prawa publicznego.

Nie bez winy jest tu i prasa i lokalne rady narodowe i wszystkie instytucje, mające wpływ na życie publiczne, które nie postarały się na czas o odpowiednie poinformowanie społeczeństwa, że dopuściły do zaniedbań na odcinku ewidencji ludności.

Przypomnijmy pokrótce: urodzenie dziecka musi być zgłoszone w Urzędzie Stanu Cywilnego w ciągu 14 dni, od daty urodzenia. O zgonie należy zameldować w ciągu 24 godzin od chwili śmierci. Za małżeństwa ważne w obliczu prawa uważa się tylko te, które zawarte zostały przed Urzędem Stanu Cywilnego.

Niedopełnienie tych prostych, niekłopotliwych i niekosztownych formalności jest nie tylko karalne grzywną i aresztem, ale pociąga za sobą szereg przykrych konsekwencji.

Dziecko zameldowane nieformalnie, a więc np. ochrzczone i zapisane jedynie w księgach kościelnych, nie figuruje w spisach ludności, nie korzysta z żywnościowych kart dziecięcych, narażone jest na trudności, gdy dojdzie do wieku szkolnego, będzie miało kłopoty w związku ze służbą wojskową itd.

Małżeństwo nie rejestrowane w urzędach stanu cywilnego jest nieważne z punktu widzenia prawa i żona nie ma prawa do nazwiska męża, a w wypadku śmierci, jednego z współmałżonków, drugi nie korzysta z praw spadku.”

Klaudiusz HRABYK

EMIGRACJA I KRAJ

Jest faktem, że najuboższy ośrodek emigracyjny polski, — ośrodek w Niemczech — pozbawiony opieki, pomocy wojska, borykający się w trudnościach bez miary, stwarzanych zarówno przez aliantów, jak i mściwe społeczeństwo niemieckie, dokonał najbardziej godnego wysiłku kulturalnego, zarówno w dziedzinie szkolnictwa i szkolenia, jak w dziedzinie wydawniczej i prasowej. Porównać choćby prasę i spis wydawnictw, tak dobrze sytuowanego, 2 Korpusu z prasą i wydawnictwami polskimi na terenie Rzeszy!

Z szeregu polskich wydawnictw periodycznych, które ukazują się na terenie Niemiec zwracamy uwagę na ukazującą się od niedawna „Tęczę."

Jest to miesięcznik — magazyn obficie ilustrowany, (także całostronicowe ilustracje barwne), redagowany interesująco i żywo, choć nie ze wszystkim jeszcze wyrównany. Redaktor — Tadeusz Starczewski.

Wszystkim, którzy chcieliby otrzymywać „Tęczę," podajemy do wiadomości, że w administracji ŻYCIA 21 Earls Court Square, London, S.W.5, są do nabycia egzemplarze 1 i 2 numeru, które dotąd wyszły. Cena za egzemplarz, bogato ilustrowany, (64 strony druku) — 2sh 6d. plus 3d. za porto.

Miarą trudności, na jakie napotykają polskie pisma w Niemczech niech będzie fakt, że z powodu antyhitlerowskiej karykatury, zamieszczonej w 2 numerze „Tęczy," wydawnictwo musiało zmieniać kilka razy drukarnie!

Poniższy artukuł Klaudiusza Hrabyka zaczerpnęliśmy — we fragmentach — z 2 numeru „Tęczy." Red.

Zdaje się, że trzeba co jakiś czas kontrolować zagadnienie wzajemnego stosunku pomiędzy emigracją a krajem, ponieważ zjawisko to jest dla nas wszystkich nowe, a ponad to powstało ono wśród okoliczności i warunków zupełnie odmiennych w porównaniu z tym wszystkim, co moglibyśmy uważać za historyczną analogię. Wszelkie próby porównawcze pod tym względem, mają bardzo kruche podstawy i tylko pozorne uzasadnienie.

Analiza więc aktualnego zagadnienia wydaje się konieczna z różnych względów, których bliżej motywować chyba nie trzeba.

Jedno wydaje się już pewne, że problem ten nie może streszczać się w uproszczonym tylko, a bezpośrednio po zakończeniu wojny bardzo popularnym haśle sztywnego podziału na niepodległościowców i kapitulantów, bo doskonale już wiemy o tym, że zarówno nie wszystkich na emigracji można zaliczać do kategorii określanej mianem niepodległościowców, jak też niepodobna wszystkich ludzi kraju mianować kapitulantami. Wydaje się, że tego rodzaju nomenklatury wcale nie są zgodne z rzeczywistością, kryją w sobie wiele nieporozumień, a także niebezpieczeństw i posiadają charakter w dużym stopniu sztuczny.

Nie jest bowiem napewno niepodległościowcem uchodźca w Niemczech, który zamierza pozostać zagranicą nie tyle ze względów politycznych, ile bądź zarobkowych, bądź z obawy przed nowym kataklizmem wojennym, bądź wreszcie z przyczyn nie zawsze jemu samemu dobrze wiadomych. Nie jest z drugiej strony kapitulantem Polak, który bądź pozostając w Kraju, bądź wracając do niego, nie żyruje ani swoją postawą, ani działalnością dzisiejszego porządku w Polsce, chociaż ze względów na konieczności życiowe wprzągnięty jest w dzisiejszą rzeczywistość kraju, podobnie jak byliśmy w znacznej większości wprzągnięci w życie kraju podczas okupacniemieckiej. Nikomu z nas, ani też nikomu z obcych nie przyszło na myśl, aby kolaboracjonistami nazywać wówczas miliony Polaków zajętych we wszelkiego rodzaju urzędach, fabrykach, w organizacjach gospodarczych i t.d., chociaż praca ta znajdowała się pod bezpośrednim kierownictwem niemieckim, niewątpliwie pośrednio i bezpośrednio służąc niemieckiej machinie wojennej.

Coraz wyraźniej widzimy, że pomiędzy Krajem a emigracją nie da się przeprowadzić ścisłej linii granicznej, ponieważ utrzymywanie bezpośredniej łączności duchowej, a nawet fizycznej pomiędzy tymi dwoma zbiorowiskami naszego narodu okazuje się koniecznością silniejszą, niż wszelkie teorie...

... Kraj, jak wynika z wszystkiego, co o nim wiemy, nie widzi w nas swych zbawców, choć interesuje się naszymi zamiarami i rolą, ale podchodzi do tego zagadnienia bez żadnej egzaltacji, która w wysokim stopniu towarzyszy ludziom emigracji. Kraj rozumie, że wspólnie z nim służymy jednej sprawie i nie przeprowadza między sobą a nami żadnej linii podziałów. Mamy dlatego wrażenie, że ludzie powracający z zagranicy sprawiają społeczeństwu krajowemu dużą i kłopotliwą niespodziankę, przywożąc ze sobą balast gwałtownych oskarżeń kierowanych pod adresem emigracji, świata zachodniego i wszystkiego, wśród czego co dopiero żyli, a także tego, w co jeszcze wczoraj wierzyli. Trudno zgadnąć, ile jest bezpośredniej szczerości w tej reakcji ludzi przybywających do kraju, ale jedno wydaje się pewne, że w ogromnej większości wypadków jest to smutny rezultat tej postawy, jaka obowiązuje tu między nami. Jest oczywiste, że człowiek przechodzący w swoim najgłębszym przekonaniu barykadę — pragnie zrzucić z siebie wszystko, co go gotąd obciążało. Pamiętajmy, że w naszej sytuacji mamy do czynienia z ludźmi zmęczonymi 8-letnią tułaczką i nędzą, którzy chcą wreszcie zaznać spokoju.

Gdyby na emigracji nie było atmosfery podziałów, nie byłoby również takiej reakcji. Nie jest to zaś zagadnienie obojętne, skoro w ciągu dwu lat po wojnie, z blisko półtora miliona Polaków, wróciło dotąd conajmniej 70%. Ludzie posiadający poczucie najściślejszej łączności z Krajem i rozumiejący jego dzisiejszy stosunek do rzeczywistości, nie odczuwaliby żadnej potrzeby ubierania worków pokutniczych oraz ekspiacji, ponieważ nie byłoby różnicy czy mają zachowywać swoją postawę w Kraju, czy poza jego granicami. Pozostawałoby tylko dostosowanie form walki, które muszą być inne w Kraju, a inne mogą być poza nim. To zagadnienie — mutatis mutandis — istniało także w czasie wojny.

Stąd też nasuwa się postulat rewizji dotychczasowego stosunku do tego problemu, ponieważ jest on sprzeczny z wewnętrznym poczuciem nas wszystkich, a świadomość naszej łączności z Krajem — szczególnie u tych, którzy spędzili w nim lata wojenne — jest silniejsza ponad wszelkie szablony. Napewno nie zgadzamy się z podstawami, na których oparty jest dzisiejszy porządek rzeczy w Kraju, ale nie wszystko, co się w nim dzieje, jest nam obce, a tym bardziej wrogie.

Możemy mówić o opozycji w stosunku do szeregu spraw, choćby zasadniczego znaczenia, ale trudno określać to jako linię demarkacyjną, poza którą zaczyna się tylko zdrada. Jest to niezgodne choćby z tym faktem, że w szeregu najbardziej istotnych zagadnień — aby wspomnieć tylko problem granic zachodnich — zajmujemy stanowisko identyczne ze stanowiskiem Kraju, chociaż wyraźnie sprzeczne z generalnym kierunkiem tych tendencji, które w naszym mniemaniu łączą się z interesami Polski.

Nie może być przepaści tam, gdzie każdym nerwem naszych uczuć, myśli, życzeń, współtowarzyszymy i współuczestniczymy nawet czynnie w wzmacnianiu dorobku Kraju, chociaż w ten sposób budujemy sami przeciw sobie argumenty, bo każdy krok w umocnieniu pozycji Polski, a więc także i jej obecnego systemu jest ciężarkiem obniżającym sens naszych wysiłków.

Jakaż konkluzja z tych doświadczeń, obserwacji i faktów?

Po pierwsze: — sztuczny podział dotychczasowy powinien być zaniechany;

po drugie: — emigracja jest praktycznie integralną częścią rzeczywistości Kraju, pozostającą, jak większość społeczeństwa krajowego, w opozycji do wytworzonej tam sytuacji, ale współdziałającą w wysiłkach Kraju zdążających do wzmocnienia pozycji Polski;

po trzecie: — nie tworzymy „trzeciego wymiaru" ani odrębnego fragmentu przedzielonego przepaścią od tego wszystkiego, co istnieje w Polsce;

po czwarte: — emigracja jest koniecznością polityczną, która musi być jednak świadomie powiązana z Krajem, płynąć z jego nurtem, tworząc żywy i mocno związany realny odpowiednik tych szerokich mas naszego narodu, które pozostają w opozycji do rzeczywistości w Kraju obowiązującej.

Wydaje się, że nad ostatecznym sformułowaniem tego zagadnienia w oparciu o realny układ sytuacji — winno zastanowić się całe społeczeństwo polskie pozostające poza granicami Kraju.

„TĘCZA", Nr. 2.

Listy do redakcji

Dramat w Koziej Wólce

Szanowny Panie Redaktorze,

Wieki minęły od czasu, kiedy Polska została nazwana „Przedmurzem Chrześcijaństwa," dumni byliśmy zawsze z tej nazwy i słusznie. Ale czy nie nadszedł czas, kiedy zamiast dumy powinniśmy wstyd odczuwać, że Polska „Przedmurzem" została i że droga nie tylko do wnętrza muru, ale i do serca twierdzy katolickiej jest nam tak daleka!

Jest to wielka tragedia naszego katolicyzmu, że uśpiła nas do snu nazwa „Przedmurza Chrześcijaństwa" zaczynamy się budzić i stwierdzamy, że przez ten czas myśl katolicka Zachodniej Europy wybudowała twierdzę chrześcijańską i nam do niej daleko.

Mamy tu na emigracji jedno jedyne pismo katolickie, pismo które powinno być najważniejszym dorobkiem emigracyjnym, które powinno nas tu kształcić do tego, abyśmy mogli zająć nasze miejsce w twierdzy katolicyzmu. Pismo, które ma nas KSZTAŁCIĆ w myśli katolickiej.

Katolicyzm nie jest przecież tylko doktryną, jest religią — sposobem życia, jest cywilizacją. Katolicyzm kształtował to co nazywamy kulturą zachodnią.

Tu w Anglii mamy dostęp do tego serca katolicyzmu, tu jest ta twierdza kultury zachodniej, tutaj ma myśl katolicka Newmana, Manning'a, Chesterton'a, Bellock'a. Tu ma współczesnych pisarzy katolickich tej miary co D'Arcy, R. Knox, tu ma pisma katolickie o wysokim poziomie, jak „Tablet", „Dublin Review." Artykuły wybitnych katolików w „Times Literary Suplement." Jest z czego czerpać i to w kraju, gdzie katolicy od wieków byli mniejszością i to prześladowaną, a czerpać musimy, jeśli ta emigracja ma spełnić swoje zadanie!

I oto to nasze jedyne pismo katolickie, w którym pokładamy tyle nadziei, uznaje za stosowne wydrukować list do redakcji o pięknym tytule „Dziwny sen." Gdyby to wydrukowało pisemko wydawane w Polsce w, powiedzmy, Koziej Wólce dla wyłącznej konsumpcji mieszkańców Koziej Wólki, ze specjalnym uwzględnieniem miejscowych przekupek i służby domowej, to by się powiedziało: „jaka szkoda," powiedziałoby się także „jaka szkoda, że wpływy kałmuckiego Wschodu dotąd jeszcze tkwią w mentalności Koziej Wólki. Tutaj w Londynie powie się „jaki wstyd," „jaka szkoda, że choć w sercu kultury chrześcijańskiego Zachodu, w samym sercu tej twierdzy my jeszcze dotąd jesteśmy tylko przedmurzem."

Bo przecież „Życie" ma z nas uczynić prawdziwych MYŚLĄCYCH katolików, ma nas wykształcić w myśli katolickiej, a nie kołysać nas w wierze w sny z najlepszej tradycji z Koziej Wólki.

Z poważaniem,
Z. M. Komorska

*

Uznając swój tragiczny niedowład „tutaj w Londynie", „w sercu kultury chrześcijańskiego Zachodu", zamieszczamy w listach do redakcji z kolei list powyższy. RED.

DWIE METODY

Z „*Życia Warszawy*" (Nr. 263) możemy się dowiedzieć o 2 metodach polityki, stosowanych dziś w świecie:

„Jedna metoda, to metoda „gwałtu i dyktanda, który nie gardzi żadnymi środkami presji na najsłabsze państwa." Druga — to metoda współpracy demokratycznej, oparta na zasadach równouprawnienia i poszanowania interesów wszystkich państw.

Mowa Marshalla to otwarta proklamacja pierwszej metody. Wyszyński zaś... — bronił zasady współpracy demokratycznej, a jednocześnie jego mowa była druzgocącym ciosem dla podżegaczy wojennych."

„ŻYCIE" W NIEMCZECH

Uprzejmie zawiadamiamy Szanownych Czytelników i Prenumeratorów na terenie Niemiec, że od Nr. 21 „ŻYCIA", cenę sprzedażną 1 egz. naszego tygodnika ustala się na 1.50 RM.

Prenumerata kwartalna pojedyńczego egzemplarza wraz z przesyłką pocztową, bezpośrednio z Londynu, wynosi 25 Rm.

Należność za „ŻYCIE" uprasza się przesyłać w markach:

a) z obozów znajdujących się w strefie amerykańskiej pod adresem: Polish Book House, Stuttgart-Gablenberg, Hoffmannweg 5.

b) z obozow znajdujących się w strefie angielskiej pod adresem: Wydawnictwo „Strażnica," CELLE, Bahnhofstrasse 1-2.

Równocześnie prostujemy zaszłą omyłkę w Nr. 20 „ŻYCIE", dotyczącą rozliczeń za wysyłany tygodnik. Prosimy wiec należności za tygodnik „ŻYCIE" — regulować według powyższych punktów.

SKŁADKI NA ODBUDOWĘ KOŚCIOŁÓW WARSZAWY

	Zebrano poprzednio	£ 397.07.05
87.	Zebrano w czasie Mszy św. w Burrow Head Camp, Newton Stewart, nadesłane przez p. Fr. Grzesika	£ 1.03.00
88.	Zebrano w kaplicy obozu Chisledon Camp i Babdown Camp (ks. kpl. B. Dzudzewicz)	£ 7.03.00
89.	W związku z likwidacją 301 Kompanii Saperów, zebrano przez pp. oficerów i szeregowych, nadesłane przez por. Mariana Skoczek	£ 7.00.00
90.	P. Józef Żak, Chippenham Camp, Newmarkett	£ 0.10.00
91.	P. B. Kramarczyk, Inveraray, Argyll	£ 0.10.00
92.	P. K. Imach, South Camp Chippenham	£ 0.10.00
93.	Zebrano w kaplicy obozowej Fowlmere Camp (ks.kpl. Fr. Herr)	£ 5.16.07
94.	Ogólne zebranie b. członków kasyna podoficerskiego obozu Nr. 2 Blackshaw Moor nr. Leek, w związku z likwidacją tegoż kasyna postanowiło przekazać na odbudowę katedry Sw. Jana w Warszawie (przekazane przez p. sierż. J. Saski i p. sierż. Gozdziejewskiego)	£ 25.04.04
95.	p. Bojanowski J., Rougham Camp Site „A"	£ 0.10.00
	Razem	£ 445.14.04

Prenumerata miesięczna: 2 sh. 10 d., kwartalna 8 sh. Ceny ogłoszeń: Tekstowe: 1 cm przez 1 łam — £ 2 sh. 10. Poszukiwanie osób i pracy: do 20 słów — 7 sh. 6 d. Za zamieszczanie dwukrotnie — 11 sh., za trzykrotne — 13 sh. 6 d. Za każdych następnych 5 słów — 2 sh. zamieszczone dwukrotnie — 3 sh., trzykrotnie — 3 sh. 6 d. Różne: jedno słowo. 9d. Rękopisów nie zwraca się. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmian w artykułach — bez naruszenia myśli autora. Adres Redakcji i Administracji: 21, Earl's Court Square, LONDON, S.W.5, Tel.: FLA 1509. Redakcja przyjmuje tylko w poniedziałki, środy i piątki — od godziny 11 do 12.

Published by Catholic Publishing Comittee. Printed by M. Caplin and Co. Press Ltd., 15 Dunheved Road North, Thornton Heath, Surrey